zas-2552/1984/22
BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

Co kryje archiwum po generale Sosnkowskim? str. 9

Oddział Zamknięty - str. 12

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

PL ISSN 0137—7108 Nr indeksu 36251

Kamena

NR 22 (815) 21 października - 3 listopada 1984 CENA 10 ZŁ

40 LAT UMCS

O uczelni mówią wieloletni rektorzy: Grzegorz L. Seidler i Wiesław Skrzydło. Ponadto fragmenty wspomnień Alojzego Srogi oraz list otwarty Henryka Pająka do obecnego J.M. Rektora UMCS.

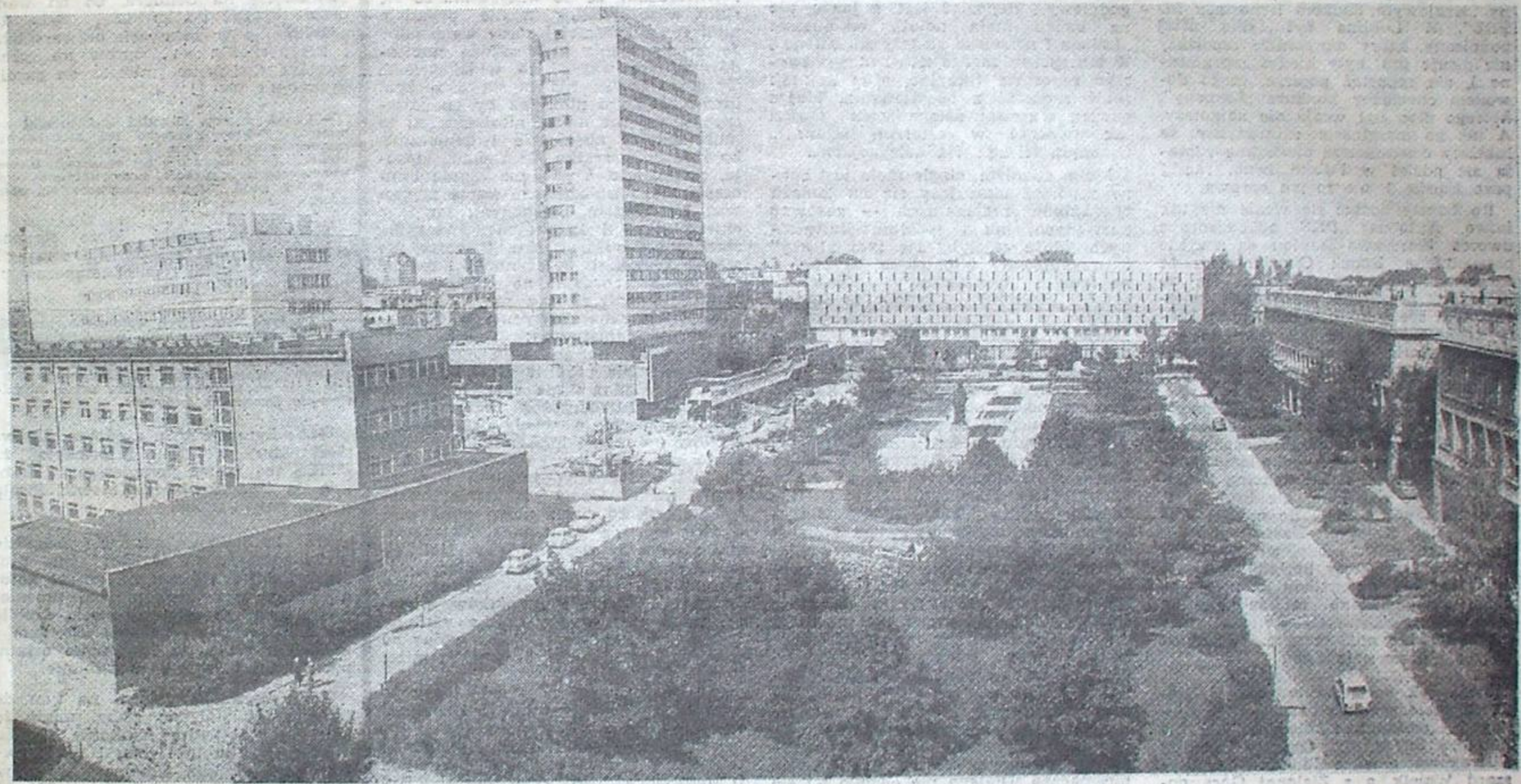

Dzielnica uniwersytecka Fot. Piotr Maciuk

Cudzych dzieci uczenie...

ROZMOWA Z GEN. DYW. JANEM CZAPLĄ WICEMIN. OŚWIATY I WYCHOWANIA

— Jak pan minister ocenia kondycję nauczycielstwa naszego kraju w kontekście ich sytuacji materialno-bytowej. Zwłaszcza po ostatnich podwyżkach wynagrodzeń?

— Sądzę, że kondycja psychiczna i fizyczna nauczycieli nie różni się wyraźnie od kondycji innych zawodów i grup społecznych. Wszyscy przeżywamy podobne trudności i kłopoty dnia codziennego, wszyscy rozwiązywać musimy problemy pojawiające się przy warsztacie pracy. Ale sytuacja nauczyciela jest szczególna. Ma on przed sobą żywego człowieka, jest odpowiedzialny za jego prawidłowy rozwój intelektualny i moralny, musi w swej pracy spełniać prawidłowo oczekiwania społeczne, ma wpływać na postawy, poglądy i motywy działania w sposób systematyczny, troskliwy, taktowny [illegible] w bogaty świat

Ciąg dalszy na str. 10

Tekst z konkursu „Kameny" na reportaż

To był ostatni wolny człowiek

Jerzy Leśniak

ABY dostać się do wioski N., trzeba z Tarnobrzega jechać autobusem kilkadziesiąt minut. Za szybą mignęła właśnie tablica z nazwą miejscowości. Autobus zwalnia, zatrzymuje się.

— Panie kierowco, ja powinienem wysiąść gdzieś w pobliżu remizy, czy już teraz? — pytam nie widząc żadnych zabudowań.

— To jeszcze nie tutaj, na następnym przystanku.

— Szukam pana Wacława, który mieszka niedaleko remizy...

— Wiem, o kogo panu chodzi. Stale jeżdżę na tej trasie, to znam pana Wacława. Zawsze coś da, żeby zatrzymać się przy samym domu. Każe się zatrzymywać, choć od przystanku do domu ma tylko jakieś ze sto metrów... Ale coś go ostatnio nie widuję. Może poje-

Ciąg dalszy na str. 8—9

Nobel '84

Tegorocznym laureatem Nagrody Nobla w dziedzinie literatury został czeski poeta, 83-letni JAROSŁAW SEIFERT. W informacji na ten temat czechosłowacka agencja CTK zwraca uwagę, że twórczość Seiferta wywarła znaczny wpływ na rozwój literatury czeskiej. Poeta dwukrotnie otrzymał Nagrodę Państwową im. Klementa Gottwalda — w 1955 r. i w 1968 r. Z okazji 65 rocznicy urodzin nadano mu tytuł Narodowego Działacza Sztuki.

W bogatej spuściźnie translatorskiej Kazimierza Andrzeja Jaworskiego są również przekłady wierszy Jarosława Seiferta.

Jarosław Seifert

ŻARÓWKA

Dokoła światła zimnego żarówki
migotliwych skrzydeł nieustanny gon.
A pan Edison
odwróciwszy swe oczy od kart, które czytał,
uśmiecha się.
Jakiemu mnóstwu nocnych ciem ocalił życie.

RACHUNEK

Twoja pierś
jest jak jabłko z Australii.
Twoje piersi
są jak dwa jabłka z Australii.
Jak lubię ten rozkoszny rachunek miłości.

NAPOLEON

Moja fajka Gambier bawi mnie ogromnie,
bo ma z głowy cesarza figlarną ozdobę.
Dzień dobry, sławny cesarzu.
Już ci wydmuchało z głowy
panowanie nad światem.

POCIECHA

Czemu panience tak zamroczyły liczka,
że dzień zepsuty, że się rozpadało?
A cóż ma rzec ta oto mała zakonniczka,
której deszcz padał przez życie jej całe?

Przełożył Kazimierz Andrzej Jaworski

z notatnika

2 X. Dwa dni w Łomży na ogólnopolskiej sesji reporterów. Tygodnik „Kontakty" i jego szef, Staszek Zagórski, jeszcze raz pokazali, że prowincja nie od macochy... I reaktywowano tu trzydziesty klub SD PRL nazwany „Krajowym Klubem Reportażu SD PRL". Z Lublina był tylko niżej podpisany, który wprawdzie reportaży nie pisuje (no, były kiedyś zagraniczne...), ale reportaż popiera, czego dowodem chociażby konkurs „Kameny", którego plon był wcale nie najgorszy. A tak na marginesie: zauważyłem, że lubelscy dziennikarze niechętnie ruszają się gdzieś w Polskę (wolą raczej poza Polskę...), ale to ich sprawa.

Do Łomży dostać się wcale nie tak łatwo. Autobusy PKS odchodzące z dworca Warszawa-Stadion są zwykle przepełnione. Bodek Chocianowicz ze Szczecina daremnie próbował się do któregoś przedrzeć, ostatecznie pojechał tym specjalnym, wieczornym, który organizatorzy, że tak powiem, zakontraktowali. Jazda trwała dwie godziny i piętnaście minut, można wytrzymać.

Ulokowano nas w hotelu „Polonez", który bardzo przypomina chełmski hotel „Kamena", chociaż położenie ma daleko ładniejsze. Przyjechaliśmy głodni, w restauracji trwał dancing i wolnych miejsc nie było, ale kto chciał mógł zamówić kolację do pokoju. Powiało więc Europą. Nastrój prysnął następnego dnia, kiedy w „Delikatesach" ujrzałem stosy herbaty popularnej. Naiwnie poprosiłem o pięć paczek, odpowiedziano mi, że herbata jest tylko dla... dietetyków, czyli inaczej mówiąc na... receptę. Człowiek uczy się przez całe życie!

Sesja jak sesja. Mało znanych nazwisk, mało znanych twarzy. Nic dziwnego — przeważnie młodzież. Ale był Edmund Żurek, był Ryszard Niemiec z Krakowa, a także Janusz Atlas, Ryszard Wójcik, a z Zielonej Góry dotarła Alicja Zatrybówna. Lista znanych, a nieobecnych, zajęłaby sporo miejsca. Sądzę, że gdyby sesja odbywała się w Warszawie, skład mógłby być nieco inny. Nie ma zresztą co ukrywać: niektórzy reporterzy umilkli, niektórzy przestawili się na inny gatunek pisarski a niektórzy po prostu zestarzeli się i obcinają kupony. Zmiana pokolenia? Może. Kto na przykład (spośród nieprofesjonalistów!) zna bliżej nazwisko Janusza Sobolewskiego z krakowskiego „Dziennika Polskiego"? A właśnie on otrzymał pierwszą nagrodę w konkursie na reportaż zorganizowanym przez łomżyńskie „Kontakty". Myślę, że będzie z niego pociecha (zapraszam do współpracy z „Kameną"!).

Na sesji interesujący referat wygłosiła Krystyna Goldbergowa z „Iskier", która zajęła się oceną ostatnich lat polskiego reportażu, a więc 1980—1984 r. Kilkakrotnie padły tu nazwiska lublinianków — Stanisława Harasimiuka i (byłego lublinianka) — Romualda Karasia. Obu zresztą w Łomży nie było...

W dyskusji znaczący był głos Ryszarda Wójcika, który stwierdził, że dworskie widzenie świata, pocztówkowość i iluminacja to poważne niebezpieczeństwa zagrażające współczesnemu reportażowi. Warto dodać, że nowa ustawa prasowa też zrobiła swoje. Wystarczy wziąć do ręki chociażby „Prawo i Życie" albo „Przegląd Tygodniowy". Reportaż jest, a jakże, ale na końcu mała notatka od autora: „Imiona i nazwiska zostały zmienione". W ten sposób bardzo łatwo można tworzyć reportaże fikcyjne, albo inaczej: robić reportaż z opowiadania. Mając pewien warsztat dziennikarski, można tak tworzyć w czterech ścianach. Oszczędności są... Na delegacjach...

Moim zdaniem, ciągle mało jest znany reportaż ukazujący się na łamach tygodników regionalnych — zarówno partyjnych, jak i społeczno-kulturalnych. Może zajęłyby się tym „Iskry" i przygotowały odpowiedni wybór? I na łamach „Kontaktów" i „Krajobrazów", i „Zbliżeń", i „Tygodnika Zamojskiego", i „Tygodnika Pilskiego", i „Kujaw", i „Morza i Ziemi", i „Nadodrza", i „Tak i Nie" są niekiedy teksty warte szerszej popularyzacji.

W każdym razie dobrze, że klub, o którym mowa, powstał. Na jego czele stanął Stanisław Zagórski z Łomży. W skład zarządu weszli Edmund Żurek, Ryszard Wójcik, Ryszard Niemiec, Krystyna Goldbergowa, Janusz Atlas, Wawrzyniec Kłosiński, Regina Dachówna, Juliusz Foss, Alicja Zatrybówna, Danuta Wroniszewska i Jacek Waloch. Powodzenia!

Sesji towarzyszył (w tzw. kuluarach) Jerzy Cendrowski, Polak z Kanady. Od czasu do czasu wraca na stare śmiecie, gdzie, jak mówi, ma już tylko rodzinę i bliskich znajomych na cmentarzu. Chłop dowcipny, serdeczny, twierdzi, że za oceanem para się dziennikarstwem. Ciekawe, co też o nas pisze! Chętnie poczytam!

4 X. Zwykle omijałem musztardę produkcji Wytwórni Octu i Musztardy w Parczewie, bo po prostu była niesmaczna. Dlatego nie chciało mi się wprost wierzyć że musztarda o nazwie „leningradzka", którą spróbowałem u znajomych, powstała w tym właśnie zakładzie!

Czyli jak chce się, to można? Czyżby zadziałała reforma gospodarcza?

Sprawa jest na pozór drobna, ostatecznie tą musztardą specjalnie nie ma dzisiaj czego smarować, a jednak sam fakt cieszy.

6 X. Pan Grzyb walczy o ulicę Mieczysławy Ćwiklińskiej w Lublinie. Zdobył nawet odpowiednie dokumenty, świadczące niezbicie o tym, że wielka aktorka urodziła się w naszym mieście. Jeszcze raz popieram starania pana Grzyba, jego pasja, nieustanne nudzenie prezydenta bardzo mi się podoba. Ze swej strony mam inną propozycję. Uważam, że jedna z ulic powinna nosić imię Aleksieja Nikołajewicza Afanasjewa. Czołg przez niego kierowany pierwszy wdarł się do Lublina w pamiętnym lipcu 1944 r.

Nie wiem, czy Afanasjew żyje. Reportaż o nim zamieściliśmy w 3 n-rze „Kameny" w lutym 1965 r. Jeśli żyje, można by go odnaleźć i zaprosić...

Panie prezydencie, służę szczegółami! Dobrą okazją ku temu byłoby właśnie 40-lecie Polski Ludowej.

11 X. „Słowo Podlasia" zamieszcza sprawozdanie z wystawy, na której eksponowano rysunki dzieci. Młoda dziennikarka, A. Z., pisze m. in.: „Zaszczycili na niej swoją obecnością (i tu trzy nazwiska, jak to się niegdyś mawiało, miejscowych notabli). Jeśli już zaszczycili, to nie „na niej", ale „ją", ale pal licho, choć słowo p o d l a s k i e nie powinno się zbytnio różnić od słowa p o l s k i e g o... Ale po co ta celebra? Że niby Polska na ołtarzach stoi! Unikajmy chociaż ołtarzy... świeckich!

14 X. W „Tygodniku Powszechnym" kolejny felieton Kisiela. Czytam: „Rozglądam się wśród swoich b. przyjaciół i stwierdzam, że po wszystkim, co się stało, wszechwładne manie owładają nimi coraz bardziej i coraz wyłączniej. Jeden ma manię podejrzliwie prześladowczą, we wszystkich widzi swoich wrogów, którzy nie myślą o niczym innym, tylko o nim, jak by go zniszczyć. Drugi ma manię niezbędności: że musi działać absolutnie i koniecznie, bo inaczej wszystko się zawali, zepsuje, przepadnie. Trzeci ma manię tymczasowości i izolacji: nie warto zajmować się niczym poważnym, bo lada chwila nastąpi kataklizm i wszystko zacznie się od początku. Czwarty ma manię pobożnej bezczynności: modlić się, czekać, chodzić na pielgrzymki, śpiewać i patrzeć jak mury Jerycha skwapliwie runą. Piąty ma manię narodowo-mesjanistyczną: Polska jest niesłychanie potrzebna światu, więc furda wszelkie pozorne niepowodzenia, włos jej z głowy nie spadnie. Szósty ma manię rozrodczości: musi nas być jak najwięcej, a wtedy zobaczycie! Siódmy ma manię logiki: żaden absurd trwać nie może, musi się zawalić, skoro jest nielogiczny, światem wszakże rządzi rozum. Ósmy ma manię krasomówczą: skoro ciągle mówi publicznie, a nikt mu nie odpowiada, to znaczy, że przekonał wszystkich i stał się im niezbędny. Dziewiąty wierzy we wszechmoc spisków i spiskowców. Dziesiąty... Historie maniaków, historie maniaków — oto Polska właśnie! Jeden jest tu tylko człowiek wolny od wszelkich manii: to oczywiście niżej podpisany...".

Cytuję, a więc niżej podpisany to właśnie Kisiel. Cieszę się, że Kisiel nie ma manii, ale w danym wypadku interesuje mnie coś innego. Napisał on przecież: „Rozglądam się wśród swoich b. przyjaciół..." B. czyli byłych. Byłych przyjaciół. Czy właśnie przez to, że mają oni wymienione manie, stali się b y ł y m i przyjaciółmi? A obecni przyjaciele Kisiela żadnych manii nie mają. Chyba również mają, skoro bez manii jest jedynie Kisiel. Kisiel samiuteńki jak palec!

Uważnie czytuję od lat felietony Kisiela i dlatego nie wierzę w jego przechwałki. Wydaje mi się również, że Kisiel pisuje też w prasie obcojęzycznej, bynajmniej Polskę nie kochającej, pod pseudonimem: Stefan Kisielewski. A jaką manię ma Stefan Kisielewski? Ot, zagadka!

M. A. Jaworski

30 października br.

MARIA KUNCEWICZOWA

obchodzi
85 urodziny.

Z tej okazji składamy Jej życzenia zdrowia i dalszych wielu lat twórczych dla dobra literatury polskiej.

ZESPÓŁ „KAMENY"

— Wybór panów profesorów na rozmówców o czterdziestoleciu Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej nie wymaga szerszego uzasadnienia. Panowie wiążą się z rozwojem uczelni lubelskiej w sposób szczególny: na panów kadencje przypada najbardziej dynamiczny okres rozwoju UMCS, rozbudowy jego bazy materialnej, naukowej i dydaktycznej. Rządziliście uniwersytetem dwadzieścia lat. Czy taka argumentacja trafia panom do przekonania?

Grzegorz L. Seidler: Z rachunków wychodzi, że faktycznie byliśmy rektorami przez dwadzieścia lat. Ja od 1959 roku do 1969 roku, zaś mój zacny, młodszy kolega w latach 1972—1981. Nie robiłbym jednak rozgraniczenia na „epokę Seidlera" i „epokę Skrzydły", bo, de facto, w mojej kadencji Skrzydło był, od 1965 roku, prorektorem też mnie wspierając...

Wiesław Skrzydło: Powiedziałbym, że raczej — ucząc się i realizując później koncepcję uniwersytetu profesora Seidlera.

— Jeden z lubelskich profesorów lata rektorowania profesora Seidlera nazywał (zresztą chyba do dziś nazywa) „pasją według Seidlera" lubo ż „okresem C.K. Monarchii Grzegorza Leopolda". Oba porównania są jakby z różnych obszarów...

GLS: Jako Galicyjczyk, nie mam nic przeciwko Franciszkowi Józefowi. Czynienie jednak porównań Seidlera z Habsburgiem wydaje się nieco przesadzone i oscyluje w rejonach Lehara, także Franciszka zresztą.

WS: Ja bym powiedział, że coś w tych porównaniach chyba jest. Profesor Seidler ucieleśniał, jako rektor, mieszankę osobistego zaangażowania emocjonalnego w sprawę i mądrości polityka. W zależności od sytuacji, proporcje mikstury się zmieniały. Władysław Gomułka, który miał kilkakrotne kontakty z rektorem, mawiał: „Uważajcie na Seidlera, bo on wam może skoczyć do gardła!". Była to prawda, bo w sprawach uniwersytetu i przepychania jego spraw na różne szczeble decyzyjne profesor do gardła skakał nie raz.

— Uczeń zresztą również coś przejął od mistrza. Rektor Skrzydło też miał swoje metody zabezpieczania interesów uniwersyteckich, choć może nie tej ekspresji. Raczej upart: argumentowanie, przypominanie, wykładanie racji. Efekty okazywały się zbliżone.

WS: Rzecz taktyki. Może się ona różnić, byle bez szkody dla strategii. Jesteśmy różnymi typami temperamentalnymi.

— Po tych ustaleniach wstępnych, przejdźmy do generałów. Lata pięćdziesiąte nie były dla uniwersytetu najszczęśliwsze. Zastanawiano się nawet czy UMCS-u nie zlikwidować. Warto o tym wiedzieć w kontekście daty obejmowania rządów przez magnificencję Grzegorza Leopolda.

GLS: Sytuacja była niedobra. Upowszechniano w kraju informacje, że UMCS ma zostać przeniesiony z Lublina do Gdańska bądź Katowic. Pisała o tym nawet prasa.

WS: Pamiętam, jak w pochodzie pierwszomajowym, w 1958 roku, profesor Seidler pokazał mi gazetę katowicką radośnie oznajmującą przeniesienie naszej uczelni na Śląsk. Zrobiło mi się zimno z wrażenia. Szedłem i myślałem sobie, że to pewnie ostatni pochód uniwersytetu w Lublinie.

GLS: Paradoks polegał na tym, że uniwersytet stał się staby, mimo że miał mocną kadrę naukową. Trzeba wiedzieć, że w 1944 roku UMCS powstał jako uczelnia matematyczno-przyrodnicza. KUL był uczelnią typowo humanistyczną i chodziło o zapewnienie, na wyzwolonym skrawku Polski, możliwie szerokiego wyboru kierunku studiów, stąd koncentracja na organizowaniu innych wydziałów, a nie duplikacji istniejących na KUL-u. Miał zatem UMCS i nauki ścisłe, i prawo, i medycynę, i weterynarię, i rolnictwo. W latach pięćdziesiątych, po reorganizacji szkolnictwa wyższego, odeszły nauki medyczne i rolne do nowo powstałych uczelni — Akademii Medycznej i Wyższej Szkoły Rolniczej. Uniwersytet stał się wtedy kadłubowy; pozostało na nim prawo i niezbyt jeszcze silna humanistyka. Naturalnym rozwiązaniem wydawało się pozostawić nam czas na okrzepnięcie i spokój do pracy, a nie stwarzać nastroje pesymistyczne i poczucie tymczasowości. Presje na władze centralne były jednak silne i stąd się brały pomysły zabierania UMCS-u z Lublina. Nie doceniano roli uniwersytetu w środowisku akademickim i jego znaczenia dla rozwoju tego środowiska. Wydawało się, że można go jak drzewo przesadzić, ale to już było zbyt stare drzewo na przesadzanie.

— Jak wiemy, pomysły te dzięki zdecydowanej postawie władz uczelni i wojewódzkich władz polityczno-administracyjnych nie doczekały się realizacji. Mówiliśmy o kontekście zewnętrznym, pozauniwersyteckim tworzącym opinię o UMCS-ie. Jak to wyglądało od wewnątrz?

TRÓJKĄT RÓWNOBOCZNY

ROZMOWA Z PROFESORAMI GRZEGORZEM L. SEIDLEREM I WIESŁAWEM SKRZYDŁO, BYŁYMI REKTORAMI UMCS W LUBLINIE

WS: Kiedy przychodził rektor Seidler, w dzielnicy UMCS-u stały chłopskie furmanki, motocykliści kręcili „ósemki", a na pierwszych przyznanych uczelni siedemnastu hektarach, tu, gdzie dziś miasteczko uniwersyteckie, pasły się krowy, dzieci paliły ogniska, a uczniowie ze „Staszica" przychodzili na wagary. To było po prostu pole. Wyrastały z ziemi, a właściwie: błota mury budynków dużej „chemii" i równocześnie domów studenckich „Amora" i „Babilonu". Temu obrazowi towarzyszył jednak bardzo prowincjonalny charakter uczelni. Na czym polegał? Przede wszystkim brakowało całościowej wizji, koncepcji uczelni. Widzenia jako integralnej całości rozwoju materialnego, potencjału naukowego i doskonalenia moralnego wychowywania. Prowincjonalizm ten przejawiał się właśnie w skromniutkiej bazie lokalowej i wyposażeniowej, braku zaplecza socjalnego (akademików, stołówek) oraz stosunkowo słabej pozycji naukowej na rynku krajowym, nie mówiąc już o zagranicy.

— Nie pozostaje zatem nic innego do zaproponowania, jak tylko omówienie wizji rektora Seidlera.

WS: Najczęściej porównywano koncepcję profesora Seidlera z trójkątem równobocznym, gdzie bokami były: materialna, fizyczna baza rozwoju (to, aby pracownicy nauki mieli gdzie pracować, studenci studiować, żeby uniwersytetowi towarzyszyła odpowiednia infrastruktura: akademiki, bloki mieszkalne dla pracowników stołówki, służba zdrowia, obiekty kulturalne); rozwój intelektualny, naukowy uczelni (aby, jak mówił rektor, UMCS partycypował w dorobku nauki polskiej i, utrzymując kontakt, wchodził na gościniec nauki światowej); użyteczność społeczna (dostarczanie wysoko kwalifikowanej kadry, wspomaganie wiedzą gospodarki narodowej, stymulowanie rozwoju regionu, ale też wychowywanie studentów i ich doskonalenie moralne). Trzeci bok — jeśli można tak powiedzieć — wydaje się najbardziej pojemny treściowo, jednocześnie wymierzenie w nim precyzyjnie dorobku jest trudne.

Innym popularnym powiedzeniem rektora było takie, że uniwersytet to: nauka, ludzie i kwiaty. Naukę powinno się rozwijać i tworzyć. Ludzi kształtować i stwarzać im warunki do chłonięcia wiedzy. Kwiaty zaś sadzić i pielęgnować, bowiem bez elementów estetyki, piękna żadna ludzka działalność nie ma większego sensu. Kiedy w 1969 roku profesor Seidler odchodził z UMCS-u, powiedział mi: „Pamiętaj, że w uniwersytecie ma rosnąć tyle róż, ilu liczy studentów". Jest to kwintesencja jego dążenia w kierunku harmonii, integralności funkcji jednego organizmu.

GLS: Słucham tego i wytrzymać już nie mogę! Na miłość boską, przecież to nie ma być panegiryk czy mowa nad trumną Seidlera! Moim marzeniem było uczynienie z UMCS-u uniwersytetu nowoczesnego, w pełni tego słowa znaczenia: współczesnego. Przecież to nie ja wymyśliłem, że uniwersytet ma tworzyć organizm spójny, przemyślany, sprawnie funkcjonujący, zabezpieczający potrzeby pracowników nauki i studentów. Wzorowałem się na anglosaskich kompusach uniwersyteckich. Koncepcja powiązania w jeden organizm rektoratu, prawa i ekonomii przeniesiona została z uniwersytetu w Chicago. Moja innowacyjność nie była znowu tak wielka. Udało mi się natomiast jedno: skupiłem wokół siebie grupę młodych pracowników nauki, przed lub tuż po doktoracie, których potrafiłem zarazić dążeniem do wizji uniwersytetu nowoczesnego. Mówiłem im...

WS: ...„Pamiętajcie, uniwersytet to jest boisko, na którym będziecie rozgrywali mecz swego życia". Myślę, że wygraliśmy ten mecz.

GLS: No, coś im w pamięci pozostało.

— A jak z wynikiem, panie profesorze? Rzeczywiście wygrali ten mecz?

GLS: Naturalnie, że wygrali.

— Spróbujmy, to do pana profesorze Skrzydło, prześledzić stan geometrii trójkąta równobocznego w momencie kiedy profesor Seidler udawał się w 1963 roku do Londynu, jako dyrektor Instytutu Kultury Polskiej. Czy był to trójkąt równoboczny?

WS: Nie był, lecz zbliżał się do takiego wyglądu. Wielkiego rozmachu nabrała rozbudowa potencjału materialnego, murów uczelni. Powierzchnia miasteczka akademickiego wzrosła z początkowych 17 do 75 hektarów i na tym terenie wyrastały kolejno budynki wydziałów UMCS: mat-fiz-chemu, humanistyki, biblioteki, nowej chemii, a równolegle domy studenta, „Chatka Żaka", Akademicki Ośrodek Sportowy, domy mieszkalne pracowników nauki, Hotel Asystenta. Miasteczko było sy-

Rys. Józef Tarłowski

stematycznie zazieleniane i ukwiecane. Powstał na skarpie między Aleją PKWN, a Nowotki i Sowińskiego botanik. Poczynione zostały — za kadencji rektora Burdy — międzynarodowe kontakty uniwersytetu, w tym jako pierwszy z Uniwersytetem im. Iwana Franki we Lwowie.

Powiedziałbym, że bok „materialny" trójkąta rósł wtedy najszybciej, bo taka była logika rozwoju. Czyniono wiele na rzecz rozwijania użyteczności uniwersytetu i ścisłego powiązania go z regionem i jego problemami. Pomnikiem współpracy z przemysłem chemicznym jest budynek nowej chemii powstały dzięki Zakładom Azotowym w Puławach. My z kolei, w późniejszych latach, pomagaliśmy w uruchamianiu lubelskich „Odczynników Chemicznych" świadczyliśmy prace naukowe na rzecz Lubelskiego Zagłębia Węglowego, tarnobrzeskiego „Siarkopolu". W UMCS-ie powstawały opracowania kartograficzne regionu, monografie historyczne miejscowości (np. Bełżyc, Biłgoraja, Kraśnika, Łukowa), które, de facto, żadnej dokumentacji swojej historii nie posiadały.

GLS: Ja bym się odwołał do pewnych danych syntetycznych. Po prawej stronie Wisły pracuje 40 tysięcy absolwentów naszego uniwersytetu! Nie ma szkoły, zakładu pracy, urzędu, sądu etc., gdzie by ich nie było. Dzięki uniwersytetowi dokonał się ogromny awans społeczno-kulturowy tej części kraju, zaliczanej niegdyś do „Polski C".

WS: Mówiąc o tym, profesor Seidler dokonał celnej syntezy czterdziestolecia UMCS-u, właśnie w aspekcie jego użyteczności społecznej. Wracając do analiz „geometrycznych", też chciałbym tę ciągłość rozwoju zaakcentować. Nie da się jakoś superdokładnie powiedzieć jaka była długość ramion trójkąta w 1969 roku i jakie między nimi kąty. Odejście rektora nie może być utożsamiane z radykalną zmianą koncepcji i tendencji rozwojowych. Były one kontynuowane przez rektora Zbigniewa Lorkiewicza i mnie w latach następnych i są do dziś przez następców. Na przykład kompleks rektorat—prawo—ekonomia nie doczekał się jeszcze zakończenia, ale przecież ono nastąpi. A idea była seidlerowska i jego ideą pozostanie. Podobnie, na przykład, jak ideą pierwszego rektora uniwersytetu, Henryka Raabego, była budowa dzielnicy akademickiej i stworzenie wydawnictwa naukowego. Została, jak wiemy, zrealizowana już nie przez niego, ale czy to ma oznaczać, iż nie jest jego ideą?

— Koncentrujemy się, drodzy profesorowie, na dwóch ramionach trójkąta. Co z „udziałem w dorobku polskiej nauki i wchodzeniem na gościniec nauki światowej"?

GLS: Wkraczamy w materię bardzo złożoną i delikatną. Wypada zastanowić się, jakie czynniki przesądzają o naukowej randze ośrodków uniwersyteckich. W Europie jest to przede wszystkim tradycja. Spójrzmy, które uniwersytety mają najwyższą rangę? Paryska Sorbona, założona w II połowie XII wieku, angielskie Oxford (przełom XII i XIII wieku) i Cambridge (1209 rok), niemiecki Heidelberg (1386 rok). Drugim czynnikiem nader istotnym dotyczącym i Europy i krajów pozaeuropejskich jest centralne, stołeczne usytuowanie uniwersytetu (np. Uniwersytet Łomonosowa, Tokijski, w Mexico City). Niekiedy oba czynniki się kumulują (Rzymski, Praski, Wiedeński). W przypadku Polski obecne są obie sytuacje: Uniwersytet Jagielloński (1364 rok) z przebogatą tradycją i stołeczny Uniwersytet Warszawski. Co się dzieje w przypadku UMCS-u? Przejściowo pełni rolę uniwersytetu stołecznego i skupia wielu wybitnych naukowców z innych ośrodków przedwojennych (Warszawa, Kraków, Lwów, Poznań, Wilno). W miarę oswobadzania terenów Polski, wznawiają pracę inne uniwersytety i kadra z Lublina do nich odpływa. Nie dość, że brak tradycji, to nikną profity stołeczności. Dokłada się reorganizacja szkolnictwa wyższego (szkoły medyczne i rolnicze) i następuje kolejny odpływ. Pytam więc: kto miał ten wysoki poziom nauki tworzyć? Wielkie nazwiska nauki skupiały się w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu. My musieliśmy żmudnie budować własny potencjał. Przede wszystkim w oparciu o młodszych pracowników, którzy dopiero tu zostawali profesorami, albo też w oparciu o łaskawość innych ośrodków. Nie ma się zatem co dziwić, że są w kraju ośrodki naukowo silniejsze! Powiem nawet, że powstała w kraju niesłuszna tendencja do niedoceniania naszego uniwersytetu i jego dorobku naukowego. Dowodem tego sklasyfikowanie nas, dwa lata temu, jako naukowej prowincji.

WS: W pełni zgadzam się z rektorem Seidlerem! W porównaniu z dorobkiem, możliwościami i aktualnym wkładem do nauki polskiej mamy za mało filii, oddziałów i placówek PAN, a także zupełnie nieadekwatną reprezentację w Akademii. Dotyczy to zresztą nie tylko UMCS-u, ale środowiska jako całości. Jesteśmy reprezentowani we wszystkich komitetach PAN-u, a samego jej progu nie udaje się pokonać. Obecnie mamy w UMCS-ie jednego członka PAN-u — profesora Zbigniewa Lorkiewicza. W Lublinie ogółem — pięciu. Zasługujemy na więcej,

Rys. Józef Tarłowski

co nie jest już tylko opinią moją i tylko lubelską. Upoważniają nas do tego osiągnięcia przede wszystkim w biologii, matematyce, filozofii, prawie.

— Mówi się, że PAN jest instytucją warszawsko-krakowską z „domieszką" Wrocławia. Dostać się do niej, gdy się nie pochodzi z tych ośrodków, trudno. I nie idzie już o jakąś ewidentną stronniczość, tylko o zupełnie ludzką tendencję, że w głosowaniu na dwóch równorzędnych kandydatów ze stolicy i Lublina chętniej dostrzega się „swojego".

WS: Owszem, takie opinie się słyszy. Nie sądzę jednak, by było zręcznym i wskazanym ich komentowanie publiczne.

GLS: Problem wszelkiej selekcji budzi dyskusje, nie tylko do PAN-u. Ale mamy jeszcze w pamięci zaszufladkowanie całego środowiska lubelskiego do kategorii „B" ośrodków regionalnych. To — nie waham się użyć mocnych słów — było kamieniem obrazy!

WS: Przypomnę, że zbulwersowana była cała społeczność akademicka Lublina i tylko jej zdecydowany protest, poparty zresztą konkretnymi argumentami i dowodami (także i w prasie) przyczynił się do zmiany decyzji ministerialnej.

— Może pokażemy coś z tych dowodów.

GLS: „Prowincjonalny" UMCS współpracuje z piętnastoma uniwersytetami w Europie i poza nią, w oparciu o podpisane umowy. Tylko do samych Stanów Zjednoczonych, do Lock Haven, wysłaliśmy na staże w ciągu pięciu lat ponad stu pracowników. Byli to z reguły ludzie młodzi, adiunkci, asystenci, ci, w których inwestować najbardziej warto. Są to — jak ich nazywamy — „kupcy światła". Nie ma roku, żeby kilkudziesięciu naszych pracowników nie uczestniczyło w międzynarodowych kongresach, zjazdach i sympozjach, a kilkunastu przebywało na zagranicznych uczelniach jako wykładowcy. Regularnie w dziewięciu sekcjach ukazują się nasze wydawnictwa Annales UMCS.

WS: „Prowincja" opracowała i wdrożyła produkcję światłowodów, którą interesuje się cała RWPG. Prace biologów cytowane są na całym świecie.

— Mówiliśmy o zasługach rektora Seidlera. Co przyniosła kadencja rektora Skrzydły?

GLS: Przede wszystkim nastąpiła rozbudowa uczelni. Dotyczyło to zarówno murów, jak i nauki. Powstał piękny budynek nowej fizyki, częściowo kompleks rektoratu, prawa i ekonomii, trzy akademiki, Hotel Asystenta, Hotel Studenta Zaocznego. Rozbudowane zostały kierunki studiów o cały Wydział Pedagogiki i Psychologii, neofilologię, archeologię. Rozszerzone zostały kontakty międzynarodowe do rozmiarów, jakich UMCS nigdy nie miał. Przedstawiciele uniwersytetu nigdy przedtem nie byli tak licznie reprezentowani w instytucjach naukowych, państwowych i społeczno-politycznych szczebla centralnego. Nigdy też UMCS nie miał takiej rangi w gronie innych szkół wyższych naszego kraju. Na tym listę komplementów, zresztą zasłużonych, bym zamknął.

— Profesor Skrzydło mówił o „skakaniu do gardła", które wykonywał profesor Seidler. Czy prawda jest z kolei, że pan zdecydował się przyjąć na studia kandydatkę, której zabrakło kilku punktów, aby... ocalić drzewo?

WS: Tak. Przedsiębiorstwo budowlane prowadziło prace przy Hotelu Asystenta. Córka dyrektora zdawała na studia, ale faktycznie zabrakło jej paru punktów. W takiej to sytuacji dowiaduję się, że robotnicy szykują się do wycięcia wspaniałej topoli przed budynkiem. Zadzwoniłem do dyrektora i zaprosiłem na budowę. Mówię, że szkoda drzewa, wyliczam, ile czasu musiało rosnąć, żeby było takie piękne. Nic nie trafia. W końcu mówię: jak pan uratuje topolę, to przyjmiemy panu córkę w ramach odwołań. Dyrektor pomyślał chwilę i mówi, że coś się da zrobić. Faktycznie dało się zrobić i drzewo stoi...

— A dyrektorówna?

WS: Ukończyła studia bez problemów. Była nawet dobrą studentką. W sumie nic się strasznego nie stało. Przyjęta została z odwołania, w ramach uprawnień przyznanych komisji uczelnianej, a drzewo zostało uratowane.

— Co na to rektor Seidler?

GLS: Też bym tak zrobił!

— To się nazywa, zdaje się, pragmatyka?

GLS: To się nazywa — polityka! Pragmatyką byłoby, gdyby dzieci Skrzydły ulepiły bałwana, ten nie chcąc dopuścić do rozwalenia go przez murarzy, dał ich dyrektorowi dokorat honoris causa UMCS. Rozumiemy się? Uniwersytetami powinni rządzić politycy!

— Czego chcielibyście, panowie, życzyć uniwersytetowi na jego jubileusz?

GLS: Zacytuję Skrzydłę. Mówił zawsze, że UMCS jest dzieckiem PKWN-u. PKWN go urodził i jego uniwersytetu, pomyślność zależna będzie zawsze od pomyślności naszego kraju. Nigdy nie może być inaczej. Tę prawdę pragnę dziś po prostu przypomnieć.

WS: Nie mam tu specjalnie niczego do dodania. Chciałbym tylko wyrazić przekonanie, że tak jak dla społeczeństwa czterdziestego czwartego roku UMCS stanowił światło, tak dla niemal 40-milionowego społeczeństwa PRL podobne światło i bodziec rozwoju będzie stanowił.

— Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiali:

Waldemar Piasecki

(który przygotował do druku relację)

i Marek A. Jaworski

UMCS -daty i fakty

Lublin stanowi miasto mające wielkie znaczenie polityczne i kulturalne dla państwa polskiego: położony na wschodnim krańcu polskiego obszaru etnograficznego i na granicy państwa musi się stać ośrodkiem kultury polskiej na tym obszarze; położony na przyszłym szlaku handlowym z ZSRR rozrośnie się wkrótce i będzie potrzebował skupienia większych sił intelektualnych — stwierdzał prof. dr Henryk Raabe w projekcie zorganizowania uczelni państwowej w Lublinie.

POWOŁANY dekretem PKWN z 22 października 1944 r., Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej nie od razu wszak stał się „ośrodkiem kultury polskiej". Pomijając wszelkie inne i podstawowe warunki kreowania szkoły wyższej o odpowiednio rozległym terenie społecznego oddziaływania, przedstawione już w bodaj kilkuset publikacjach na temat UMCS, zwróćmy tylko uwagę, że początkowo uczelnia posiadała tylko takie wydziały: Lekarski, Przyrodniczy, Rolny, Weterynaryjny i Farmaceutyczny. Dopiero w 1949 r. utworzono Wydział Prawa, a trzy lata później — Wydział Humanistyczny. Rozwijając się i reorganizując strukturę, UMCS wyłaniał z siebie i przekazywał jednocześnie miastu nowe, samodzielne uczelnie: w 1949 r. Akademię Lekarską (dziś Medyczną), w 1955 r. Wyższą Szkołę Rolniczą (dziś noszącą miano Akademii Rolniczej). Społeczne, edukacyjne i naukowe skutki owych decyzji okazały się pożyteczne, ale w tamtych latach niejednego kłopotu przysporzyły Alma Mater.

Krótko mówiąc, przez pierwsze 15 lat istnienia UMCS ciężko, acz konsekwentnie pracował, by zyskać faktyczny status uniwersytetu, którego wizję — bezdyskusyjnie nowoczesną — zakreślił Henryk Raabe. Dodajmy, że to właśnie za jego kadencji i zgodnie z generalną ideą UMCS jako placówki o znaczeniu ponadregionalnym zrodziła się myśl wydawania stałego rocznika uczelni, który wkrótce zyskał nazwę „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska". Wtedy też powstała koncepcja wzniesienia w Lublinie dzielnicy uniwersyteckiej, realizowana od 1949 r. dzięki poparciu władz, które przekazały uczelni 70 ha gruntu.

Dynamiczny rozwój UMCS datuje się od 1959 r. Nowe inwestycje, powołanie kolejnych wydziałów oraz filii i punktów konsultacyjnych poza Lublinem, intensyfikacja kontaktów zagranicznych, liczebny wzrost kadry i wartościowych, cenionych w kraju i na świecie opracowań naukowych — oto podstawowe wyznaczniki tego procesu.

Obecnie Uniwersytet prowadzi studia na 27 kierunkach podstawowych i na 21 zawodowych specjalizacjach szczegółowych — w ramach sześciu wydziałów: Biologii i Nauk o Ziemi; Matematyki, Fizyki i Chemii; Prawa i Administracji; Humanistycznego; Ekonomicznego (od 1965 r.); Pedagogiki i Psychologii (od 1973 r.), który kształci m.in. muzyków i plastyków jako nauczycieli szkół podstawowych i średnich. Ponadto działają dwa instytuty pozawydziałowe: Filozofii i Socjologii (od 1973 r.) i Nauk Politycznych (od 1975 r.) oraz Filia UMCS w Rzeszowie (od 1969 r.). Zarówno studia stacjonarne, jak i zaoczne trwają pięć lat, a wszystkie wydziały mają prawo nadawania stopni naukowych doktora i doktora habilitowanego. Od dziesięciu lat uczelnia wraz z Towarzystwem „Polonia" prowadzi Polonijne Centrum Kulturalno-Oświatowe, które rozwinęło szeroką współpracę z ośrodkami polonijnymi w świecie, urządza różnorakie kursy wakacyjne dla rodaków z zagranicy oraz publikuje monografie „Z dziejów Polonii" i teksty o charakterze podręcznikowym, organizując ponadto sesje naukowe.

UMCS opuściło dotąd 41 182 absolwentów. W ramach uczelni doktoryzowało się 1278 osób, a habilitowały się 254. Według stanu z 1 stycznia br., uniwersytet zatrudniał 1499 pracowników naukowych i dydaktycznych, w tym 87 profesorów, 133 docentów, 6 adiunktów habilitowanych, 578 adiunktów, 699 asystentów...

Dorobek wydawnictwa UMCS wyznacza ponad 790 skryptów i książek, przy czym 338 tomów stanowią „Annales", zawierające również prace naukowców z Akademii Medycznej i Akademii Rolniczej. Integrując lubelskie środowisko naukowe, periodyk ten prezentuje zarazem nasz potencjał intelektualny w skali międzynarodowej, jako że dociera na zasadzie wymiany do wielu ośrodków badawczych w świecie.

W minionych dziesięcioleciach pracownicy UMCS opublikowali ponad 880 książek i niemal 25 000 artykułów, recenzji i innych tekstów naukowych, a w okresie 1971—1983 wykonali 4099 prac naukowo-badawczych na podstawie umów, z czego zdecydowaną większość stanowiły przedsięwzięcia zrealizowane w ramach bezpośredniej współpracy z jednostkami gospodarki uspołecznionej. Rezultatem tych badań było m.in. uzyskanie 220 patentów, 47 patentów tymczasowych i 28 praw ochronnych. 32 wynalazki wdrożono do produkcji (m.in. światłowody).

W uczelni funkcjonuje Centralne Laboratorium Aparatury Unikalnej oraz Komputerowy Ośrodek Obliczeniowy, z których korzystają różne jednostki organizacyjne. Rozpoczęto przygotowania do uruchomienia scentralizowanego systemu komputerowej informacji naukowej.

Biblioteki UMCS gromadzą 1 780 881 woluminów książek. Warto przy tym wiedzieć, że Biblioteka Główna, posiadająca obecnie ponad 1 100 000 woluminów, w pierwszym dziesięcioleciu istnienia zarejestrowała 101 000 książek, pochodzących z darów i zakupów.

Pomieszczenia dydaktyczne, pracownie i laboratoria uczelni zajmują ogółem 100 745 m kw. powierzchni użytkowej. Domy akademickie liczą ponad 3000 miejsc, a obiekt dla studentów wymagających opieki sanatoryjnej — 129 miejsc. UMCS posiada okazałą przychodnię zdrowia, zatrudniającą 170 lekarzy i pielęgniarek. Stołówki dysponują 1148 miejscami i mogą dziennie wydać 6400 posiłków. W pięknie położonym Ogrodzie Botanicznym na Sławinku, rozłożonym na 23 ha i dostępnym dla wszytkich lublinian, rośnie ponad 7000 gatunków flory. W tzw. „Chatce Żaka" znajduje się sala teatralna, w której niegdyś występował znany w kraju „Gong-2", a obecnie produkują się inne ensembles studenckie. Tu także odbywają się koncerty Zespołu Tańca Ludowego, istniejącego od 1953 r., i Chóru Akademickiego im. J. Czerwińskiej, który na początku października br. świętował 15-lecie istnienia, mając w pamięci, że z przerwami działa już od lat 35.

UMCS rozwija współpracę naukową z uniwersytetami we Lwowie i Erewaniu (ZSRR), Jassach (Rumunia), Debreczynie (Węgry), Ołomuńcu (Czechosłowacja), Modenie, Lecce i Camerino (Włochy), Saint-Etienne, Paris VI i Toulouse III (Francja), Lock Haven University of Pennsylvania, University of Minnesota (USA), Kassel (RFN), Innsbrucku (Austria). Przy uczelni istnieje Alliance Francaise oraz Ośrodek Rozpowszechniania Wydawnictw Naukowych PAN, oferujący również publikacje obcojęzyczne.

W bieżącym roku akademickim w UMCS studiuje ogółem 13 961 osób, z czego 1921 w filii rzeszowskiej. Z tej liczby w trybie zaocznym pobiera naukę: w Lublinie — 5048, a w Rzeszowie — 708 studentów.

Dla porównania przypomnijmy, że w pierwszym roku istnienia uniwersytetu na pięciu wydziałach studiowało 806 słuchaczy, a kadra naukowa składała się z 42 profesorów i 80 asystentów.

Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej jest ośrodkiem kultury polskiej.

Rektorami uczelni byli kolejno: Henryk Raabe (1944—1948), Tadeusz Kielanowski (1948—1950), Bohdan Dobrzański (1952—1955), Andrzej Burda (1955—1957), Adam Paszewski (1957—1958), Grzegorz L. Seidler (1958—1969), Zbigniew Lorkiewicz (1969—1972), Wiesław Skrzydło (1972—1981), Tadeusz Baszyński (1981—1982), Józef Szymański (1982—1984). Obecnie funkcję tę pełnuje Stanisław Uziębło.

(K)

MEMORIAŁ, noszący datę 15 września 1944, przygotowany był przez Naczelnika Wydziału Szkół Wyższych w Polskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego, wybitnego zoologa i społecznika, profesora doktora Henryka Raabego. Postulował on właśnie utworzenie w Lublinie, w stołecznym naonczas Lublinie, Uniwersytetu.

Odpowiedzią był projekt, przygotowany przez Biuro Prawne przy Prezydium PKWN, o utworzeniu Akademii Medycznej i Nauk Przyrodniczych w Lublinie.

W niespełna miesiąc później, 13 października, w tym samym dniu, kiedy w całej ostrości staje najważniejsza, obok udziału Polski w wojnie, sprawa przyspieszenia tempa reformy rolnej, gdy przygotowuje się do wyjazdu na wieś pierwsze robotnicze ekipy — Wojewódzka Rada Narodowa w Lublinie podejmuje uchwałę o zorganizowaniu w Lublinie Wyższej Szkoły Rolniczej, Medycznej i Technicznej. I gdzieś tam od razu powiedziano, że tymczasowo siedziba uczelni będzie w Zamościu, bo w Lublinie są trudności lokalowe. Jakże inaczej mogła wyglądać historia! To nie Lublin tworzyłby w Zamościu filię uczelni, lecz Zamość łaskawie mógłby ewentualnie wyrazić zgodę, by czegoś użyczyć Lublinowi ze swoich skarbów naukowego ośrodka.

Stało się jednak inaczej. Wiadomo — stolica zawsze wszystko do siebie garnie, niezależnie od tego jak się nazywa — Gniezno, Kraków, Warszawa czy Lublin. Skorzystał ze swej stołeczności i Lublin.

Znalazł się więc w Dzienniku Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej, z 25 października 1944, pod pozycją Nr 9 — Dekret Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z 23 października 1944 r. o utworzeniu Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

...Tworzy się Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej z siedzibą w Lublinie, nazywany w dalszych artykułach Uniwersytetem...

...W chwili powołania do życia Uniwersytet dzieli się na cztery wydziały: lekarski, przyrodniczy, rolny i weterynaryjny. Kierownik Resortu Oświaty może powołać do życia dalsze...

Zdarza się po dziś dzień słyszeć i czytać ataki na nazwę uczelni, że nieprawidłowa z punktu widzenia językowego, że poprawnie powinna brzmieć „Uniwersytet Marii Skłodowskiej-Curie". Na pewno wiele w tym racji. Ale może i w błędzie językowym też wyraża się kawałek historii? A zresztą powiedzcie jakby to się źle wymawiało UMSC... Co innego gładko, potoczyście: UMCS. [...]

Jeszcze na chwilę zatrzymajmy się nad dniem 24 października, dniem podpisania nominacji na Pierwszego Rektora (*Henryka Wacława Raabego* — red.).

Tego też dnia powołano pierwszych profesorów UMCS. Byli to: Mieczysław Biernacki, Janusz Domaniewski, Kazimierz Kalinowski, Henryk Lubieniecki, Narcyz Łubnicki, Henryk Raabe, Feliks Skubiszewski, Konstanty Strawiński, Jakub Węgierko. W dwa dni później — 26 października odbyło się słynne posiedzenie na beczkach, przy Alejach Racławickich 20, w gościnnym gmachu Gimnazjum im. Stanisława Staszica.

I oto proszę odpowiedzieć na pytanie — czym były wypełnione te beczki?

Prawidłowa odpowiedź brzmi: cementem.

Kto wie, może bez niego wywróciłyby się te beczki i nie utrzymały deski imitującej szacowną ławę dla profesorskiego ciała dokonującego wyboru dziekanów i rad wydziałowych? Bo ja wiem zresztą, czy by się wywróciły? W końcu najtęższi, najwyżsi profesorowie — założyciele ważyli wtedy po... 50—60 kg. Tacy to byli mocarze.

Aby zaś młodszym kolegom wyjaśnić rzecz do końca, słów jeszcze parę. Współtwórca Uniwersytetu i jego pierwszy, kilkuletni Rektor, człowiek wspaniały, ogromnej wrażliwości i prawości, ulubiony i adorowany przez studentów — profesor doktor Henryk Raabe był wzrostu skromnego, drobniutki i ja, który mierzę raptem 172 cm, patrzyłem zawsze nań (fizycznie! I tylko fizycznie!) z góry, ilokroć przychodziło do spotkań, podczas których Jego Magnificencja szarpał nerwowo swą w szpic przyciętą bródkę. Był na równi z nami — działaczami Bratniej Pomocy — srodze zafrasowany; że stołówka studencka na jutro nie ma nic, nic... Że buty pozdzierane, że przydziałów nie ma, że cofnięto nam kartki żywnościowe, uważając nas snadź za półpasożytniczy element, że mieszkań miasto nie da, że... Tysiąc problemów, trosk i kłopotów waliło się na tę drobną postać. Ale jego ducha — starczyłoby dla dziesiątków atletów. [...]

Książek, podręczników, jako się na wstępie rzekło — raczej nie było. Wprawdzie nadchodziły do Uniwersytetu dary z różnych części świata, dostarczając wiele cennych dzieł, ale cóż — student niezbyt chętnie sięga do bogatego, ale szczegółowego dzieła, które było np. pracą habilitacyjną naukowca radzieckiego czy angielskiego.

Tedy masowo rozpoczęły koła naukowe wydawanie podręczników, a raczej — skryptów. Po prostu jeden lub drugi bystry a pracowity student starannie notował wszystkie profesorskie wykłady, potem oddawał je profesorowi do autoryzacji, no i pozostawał taki tylko drobiazg jak przepisanie skryptu na matrycy i powielenie w kilkuset egzemplarzach. Zupełny drobiazg, biorąc zwłaszcza pod uwagę brak maszyn do pisania, matryc, powielaczy i... umiejętności pisania.

Ale mimo to koło matematyczno-fizyczne wydało własnym staraniem doskonały skrypt z logiki i metodologii, opracowany przez profesora doktora Narcyza Łubnickiego. Tak między nami mówiąc — bez ogromnej życzliwości i pracowitości profesora — nie byłoby i tego skryptu. [...]

Niezależnie od wydawania skryptów, co było niezmiernie ważne dla nauki — pracownicy uniwersytetu wykazywali ogromną przedsiębiorczość — i zaborczość, dodajmy dla precyzji — w zdobywaniu książek naukowych dla biblioteki uniwersyteckiej (kierował nią wówczas mgr Władysław Skoczylas), jak i dla bibliotek zakładowych.

LIST OTWARTY

Jego Magnificencja Rektor UMCS

W ZWIĄZKU ze zbliżającą się czterdziestą rocznicą sławnego Posiedzenia na Beczkach, pieczętującego powstanie Uczelni, która później miała zaszczyt edukować niżej podpisanego, pragnę złożyć na ręce Magnificencji stosowne dla Rocznicy, a także dla rangi Wielce Szanownego Adresata, gratulacje oraz życzenia wszelkiej pomyślności na chlubnej drodze do następnego czterdziestolecia.

Czynię to w liście otwartym. Żywię bowiem skromne przekonanie, że w powodzi listów przeróżnych: zamkniętych, półotwartych i prawie otwartych, pisanych na papierze kredowym, czerpanym i wymyślnie ozdobnym, moje bezgranicznie otwarte posłanie na kiepskim gazetowym papierze klasy piątej, mimo wszystko doda jakiegoś blasku tym niezliczonym hołdom, jakie Uczelnia i Magnificencja osobiście tytanicznie przetrwać muszą w tym podniosłym, lecz jakże trudnym okresie.

Jako felietonista z wykształcenia, temperamentu i obowiązku, źle się czuję pośród patetycznych fraz, których skromną próbkę daję na początku mojego przesłania. Nie lubię słownej oksydy, zwłaszcza gdy słuchają lub czytają mnie tysiące. Lud jest najsurowszym sędzią i najmądrzejszym doktorem wszechnauk. Nie sądzę, aby ktoś myśl tę wypowiedział przede mną. Przechodzę zatem do rzeczy.

Czterdziestolecie mojej i Magnificencji Uczelni zbiega się dość blisko z czterdziestoleciem PKP. Czy nie wydaje się Panu, że tkwi w tym pewna niezręczność? Ponadto pociągi w tym kraju kursują już ponad sto lat, a tymczasem jubileusz parowozownictwa okrojono do czterdziestki, podczas gdy Jubileusz UMCS jest liczony, jak na razie, od pierwszego dnia, od samego aktu poczęcia na Beczkach. Kolejarze poczuli się dotknięci i może dlatego ich jedynym jubileuszowym gestem w stronę pasażerów było zrafionizowanie przedziałów, dzięki czemu w porę dowiadujemy się, że pociąg zbliża się do stacji Lublin z pięćdziesięciooślimiminutowym opóźnieniem.

Harvard University nazwę uniwersytetu nosi dopiero od 1780 roku, lecz jego szkoły wyższe istnieją od 1636 roku i uczelnie kolejne jubileusze nie-

Przypomniała mi jeden z takich faktów siostra, Teresa, która na UMCS jako jedna z trzech osób uzyskała magisterium z psychologii u profesora Tadeusza Tomaszewskiego (potem, niestety, psychologię zlikwidowano jako naukę „podejrzaną"). Otóż jakaś rzutka grupa operacyjna Uniwersytetu zawitała do Wrocławia. Widać wtedy jeszcze Uniwersytet i Politechnika Wrocławska (to była początkowo jedna uczelnia) miały dość swoich kłopotów organizacyjnych, a nie tam buszować po różnych ruinach i pogorzeliskach.

Ale do takiego właśnie pogorzeliska trafiła grupa z UMCS. I to gdzie — do jednej z części biblioteki wrocławskiego uniwersytetu. Znaczna część książek była — na skutek pożaru — istnym proszkiem. Jednakże ładny „szaber" książkowy można było jeszcze, mówiąc wiechowym językiem — „uskutecznić".

pierwszych latach. To nie tylko były książki. To także popiersie Darwina z Muzeum Antropologicznego w Moskwie, to pomoc w sprzęcie różnego rodzaju charytatywnych i naukowych organizacji na Zachodzie Europy i w Ameryce (tam zresztą bardzo energicznie działał wysłannik Uniwersytetu profesor Olekiewicz), to pierwsze 10 mikroskopów, które ofiarował Kijowski Instytut Lekarski, i tak dalej, dalej. [...]

Stosunki na uczelni były wtedy familiarne, profesorowie żyli w warunkach niewiele lepszych niż studenci, jedyną ich satysfakcją było wdzięczne audytorium, łaknące wiedzy. [...]

Dużo było zieleni wojskowej. Mundury, płaszcze, czapki wojskowe — rogatywki i furażerki — trochę „battle-dressów" z Zachodu, więcej drelichu, lichego sukna, wywodzącego się z 1 i 2 Armii Wojska Polskiego. Oczywiście trwała jeszcze pookupacyjna moda — wysokich butów, tzw. oficerek. Stroili

można było porównywać, w domu akademickim mieszkał... co dwudziesty student (!).

Prawda, w Warszawie ocalał choćby wielki dom przy placu Narutowicza, Lublin — sprzed wojny — nic podobnego nie miał. [...]

Ogromna część studentów odżegnywała się wówczas od wielkiej polityki. Można to chyba zrozumieć. To było pokolenie, które wychowywało się w okresie międzywojennym na tradycjach i w kulcie piłsudczyzny. Potem, wizja wielkomocarstwowej Polski runęła we wrześniu 1939. Trzeba było z tej goryczy klęski wyciągnąć własne wnioski. Różnie w czasie okupacji układały się losy przyszłych studentów. Wielokrotnie już wspominałem, że były to drogi wiodące poprzez obozy koncentracyjne, las, front. Pewna część — właśnie z tego głównie powodu — wyszła z wykrystalizowanym światopoglądem, jeśli nie gotowym marksistowskim, to w każdym razie bliskim marksizmowi. Ale była niemała grupa ludzi, która związała się w latach wojny z orientacją londyńską, i to niewątpliwie ciążyło. Była ogromna grupa ludzi, która skłonna była przyznać wyższość ustrojową Ludowej Polski już po pierwszym roku jej istnienia, w sercach i umysłach pozostawał jednak żal z powodu strat materialnych poniesionych podczas działań wojennych.

humanitarnych racji, jakby to do nas, ludzi obozu postępu wolno strzelać jak do kaczek (jak to „pięknie" określał ówczesny wicepremier Mikołajczyk).

Miano nam za złe jeszcze i co innego, że w więzieniach siedzą ludzie, często koledzy z AK. Siedzieli — nie ma co kryć.

Miano nam za złe wszystkie tragiczne braki gospodarcze, które rzeczywiście w tym drugim, trzecim powojennym roku były jeszcze bardzo dokuczliwe.

Nie ma co kryć — w owym okresie niesłychanie silnym, opozycyjnym ośrodkiem politycznym był Katolicki Uniwersytet Lubelski.

Wśród naszych studentów — większość to byli też ludzie wierzący. Łatwo więc znaleźć podatny grunt dla licznych szpilek i szpileczek. (Tu na marginesie warto wspomnieć o tym, jak czasem przeliczano się w tej pracy agitacyjnej. Postanowiono np. zohydzić UMCS nadając mu odpowiednią nazwę. Skoro stary „prawdziwy" uniwersytet nazywa się KUL, to ten drugi, młody będzie się nazywał „ŻUL", że niby — „Żydowski Uniwersytet Lubelski". Próbowano tu grać na najniższych instynktach, endeckich tradycjach. To kolportowanie nazwy przez studentów KUL — odegrało zupełnie inną rolę, mianowicie wytworzyło postawę rezerwy wobec KUL, nawet ze strony wierzących studentów UMCS).

Ale z tych wszystkich powodów, z osobistego zawiedzenia się, z niewyciągnięcia do końca wniosków wypływających z ostatnich lat dziejów ojczystych, właśnie większość studentów starała się trzymać z dala od polityki.

To, dla odmiany, w oczach działaczy politycznych Lublina, działaczy niecierpliwych, którzy by chcieli w słusznej pasji przeciągnąć jak najszybciej całe społeczeństwo na stronę marksizmu, Polski Ludowej, nowych racji — powodowało pewne zniecierpliwienie, a nawet — nierzadko — rzucanie epitetami, że „to wszystko, to czarna reakcja".

Ba, toż dopiero 3 grudnia 1947 roku powstało przy UMCS Koło Polskiej Partii Robotniczej. Dotychczas — była organizacyjna pustka, mimo że niektórzy wybitni naukowcy byli już członkami partii.

Nieco korzystniejsza była sytuacja wśród młodzieży. Nieco — to nie znaczy, że już pomyślna. Osobiście jednak uważam, że choć Akademicki Związek Walki Młodych „Życie" wiosną 1946 zrzeszał zaledwie około 40 osób, to jednakże była to, bez przesady, siła dynamitu.

Członkowie tej organizacji — ludzie ogromnej ideowości, ogromnego wewnętrznego żaru i przekonania, potrafili wokół siebie skupiać duże grono kolegów, nawet i tych, co choć nie zgadzali się z wieloma postulatami, wieloma założeniami ideowymi ZWM, ale przychodzili na każde dyskusyjne spotkanie, do ciasnego lokaliku, w OKZZ przy Krakowskim Przedmieściu 29, z którego gościnnie korzystała organizacja...

(Fragmenty książki pt. „Studenckie lata").

RACZKOWANIE

Alojzy Sroga

No i przywieziono do Lublina parę tysięcy tomów, zwalono na jeden stos w gmachu Rektoratu i teraz kto żyw i chętny — mógł wybierać. Trafiały się tam także dzieła... siedemnasto- i osiemnastowieczne. [...]

Wracając do książek: przyjmowano wszelkie dary od osób prywatnych, jak i instytucji. Czterysta egzemplarzy książek naukowych od społeczeństwa Moskwy i kilka tysięcy od Uniwersytetu Łomonosowa. Od uczelni Kijowa, a także od Polonii Amerykańskiej. Od Ambasady Francuskiej w Warszawie i życzliwych osób rozsianych po świecie. No i oczywiście — kupowano gdzie tylko i co się dało. Efekt był taki, że w chwili inauguracji trzeciego z kolei roku akademickiego, jesienią 1946 r., rektor Henryk Raabe komunikował już wiadomość, że zbiory biblioteki uczelni liczą... 200 tysięcy tomów. No i dodatkowy kłopot: gdzie to wszystko przechowywać? Niezwykle paląca stała się sprawa budowy gmachu biblioteki, co też i wkrótce nastąpiło.

Jeszcze dwa słowa o tej ofiarności, która towarzyszyła uniwersytetowi w

się w nie, zresztą najchętniej, ci, którzy ani w partyzantce, ani w wojsku nie byli. Po prostu — stać ich było na to. [...]

No a cywilne ubrania — pożal się Boże! Jakieś wiatrówki i kurtki szyte z koców, były tak postrzępione, że nie nadawały się do okrywania grzesznego cielska podczas snu, ale były wysoko cenione jako materiał na kurtkę [...]

Najważniejsze, że stan posiadania uczelni stale się powiększał, choć przychodziło to przy ustawicznym stosowaniu starej rzymskiej zasady, która chyba specjalnie na te lubelskie okoliczności była wcześniej przewidziana, że „per fas et nefas", czyli nie przebierając w środkach.

[...] Sprawy mieszkań i domów akademickich, które wlepił mi czcigodny zarząd Bratniaka, jako jednemu ze swych członków — to chyba istna dżungla i tragedia. Rozumieliśmy, że po wojnie sytuacja jest trudna, że zniszczenia. Ale... w zniszczonej, niemal startej z powierzchni ziemi Warszawie — w domu akademickim jednak mieszkał co trzeci student. W Lublinie, którego zniszczeń ze stolicą nie

Na wszelki więc wypadek, mimo że przyznawano — jakże często — iż przedwrześniowa Polska nie może być wzorem do naśladowania — trzymano się na uboczu życia politycznego. Owszem przyznawano zgodnie, że to j e d n a k dzięki Polsce Ludowej mogą studiować na uczelni, stworzonej jeszcze wtedy, gdy nad Wisłą, 60 kilometrów od Lublina, stał front, ale...

Tych „ale" było mnóstwo. Trwała na Lubelszczyźnie zaciekła walka zbrojna, ten najdrastyczniejszy wyraz walki politycznej. Na kule podziemia — trzeba było odpowiadać kulami żołnierzy Wojska Polskiego, KBW, bezpieczeństwa, milicji, ORMO. I to — miano nam za złe, w imię jakichś wyższych

zmiennie datuje od roku założenia. Boję się, że za jakieś sto lat, podobnie jak w przypadku PKP, jubileusz UMCS zostanie czyimś kaprysem okrojony o kilkadziesiąt lat, do jakiejś Daty, np. zacznie się liczyć od wznowienia zajęć po zakończeniu Trzeciej Wojny Światowej.

Cisną się wspomnienia, lecz mocno trzymam je w ryzach. Była jakaś chciwa pazerność na wiedzę, w nas, dzieciach chłopów i robotników. I tak głupio potem roztrwoniony entuzjazm tego ludowego pokolenia, tych okaleczonych przez wojnę roczników. Tak precyzyjnie, tak bezwzględnie i metodycznie oskubywanego potem ze złudzeń. Ukochana Uczelnia jedną ręką dawała dyplomy, pracę i awanse, drugą odbierała mity. Dlaczego ona? Dlaczego mity? Bo światły widzi jaśniej, ostrzej, dalej. Bo pokolenie bez własnej mitologii, złudzeń i nadziei jest pokoleniem martwym.

Z okna bloku „A" przy Langiewicza rozpościerał się rozległy widok na pszenno-buraczane pagóry późniejszej LSM. Pośrodku tkwiła samotna wysepka: jedna jedyna, nędzna chatka otoczona drzewami kwitnących wiśni. Miłość jest bezwonna i może dlatego zakochane pary sunęły w tamtym właśnie kierunku, na zajęcia z woni, szumu, kolorów i blasków. Dziesiątki lat później, przechodząc jakimś późnym popołudniem w pobliżu bloku „A", odczułem nagle, przemożne pragnienie sprawdzenia z okna tego samego pokoju, czy monstrualny liszaj LSM, widziany z góry, nie jest moim przywidzeniem. Niestety, drogę zastąpił mi energiczny cieć. Broniąc własną piersią wstępu na górę, tak jakby kryła wyrzutnię pocisków samosterujących, zagroził milicją. W jakiś czas później podobny impuls pchnął mnie do wnętrza dawnego budynku Humanistyki na placu Litewskim, gdzie w sali numer 19 przed prawie 30 laty prof. Garbaczowska oznajmiła nam na inauguracyjnym wykładzie: Homo sum, humni nihil a me alienum puto! Przyjąłem to jako bezwzględny imperatyw humanisty i niewiele myśląc, ująłem oburącz spływające wspaniałą bursztynową falą włosy siedzącej przede mną Elki C.: nic, co ludzkie, nie powinno mi być obce...

A teraz... Teraz jakaś jejmość przechodząca z plikiem akt przyjrzała mi się podejrzliwie, rzucając obcesowo: pan w jakiej sprawie? Uciekłem w popłochu.

Oto Alma Mater, która odpycha swoje dziecko jak bękarta! Oto, Magnificencjo, gorzki smak jubileuszowy! Powietrzne promenady łączące gmachy dzisiejszego miasteczka uniwersyteckiego, dzieło i duma poprzednich Magnificencji, to dla mnie jedynie kosztowne, wspaniałe ruiny tych niezliczonych drobin czasu mojej młodości. One pogrzebały na zawsze pod swoimi kolumnadami zapach tamtych kwitnących wiśni, nie znoszący sprzeciwu głos prof. Garbaczowskiej i aksamitną fakturę bursztynowej Elki C.

Umówmy się, Magnificencjo: kiedy już umilkną fanfary czterdziestolecia, pozwolę sobie zaprosić Pana na wspólny spacer po tej cudownie uporządkowanej Pompei, w celach wyłącznie archeologicznych. Wierzę, że będzie to i dla Pana chwila zadumy.

Proszę wybaczyć ten „ryplej", skażony ciepłem wspomnień i zamulający serce gorzką refleksją. Przesuńmy kamerę bliżej współczesności. Oto dynamiczny kadr ukazuje absolwentów któregoś z ostatnich lat. Radośnie wysypują się z licznych wydziałów uczelni, wysoko i dumnie unosząc dyplomy. Czy patrząc na nich, nie odczuwa Pan nieokreślonych obiekcji, nie towarzyszą Panu wyrzuty sumienia, poczucie jakiejś osobistej winy za ich optymizm? Coś na podobieństwo niezawinionego, a jednak — oszustwa? Tak, Magnificencjo, fabryka podległa Panu produkuje wyroby, na które zapotrzebowanie katastrofalnie spada! Czy nie czas zmniejszyć przepustowość, przejść na coś w rodzaju pracy jednozmianowej? Czy byłoby aktem zupełnie pozbawionym sensu i po prostu niehumanitarnym wydanie przez Magnificencję okólnika nakazującego docentom i profesorom bezlitosne oblewanie połowy następnych roczników, aby tylko przedłużyć im uniwersytecką Arkadię?

Każdy kowalem własnego losu? Możliwe, tylko gdzie te kowadła? Gdzie młoty? Co kuć? Chyba konie, bo nawet kosy wyszły z obiegu, a ponadto mają ostatnio kiepską prasę...

A propos prasy... Niech to będzie już kadr ostatni. Kieruję kamerę na siebie — proszę wybaczyć prywatę. Widzimy faceta, który świetnie się niegdyś zapowiadając, skończył w ciemnym kąciku gazety, najczęściej na ostatniej stronie, w otoczeniu krzyżówek i facecji. „I skuczno, i grustno, i niekomu ruku podat'", mawiali w takich sytuacjach starożytni Rosjanie. Ktoś powiedział bezlitośnie trafnie, że dziennikarstwo to doskonała szkoła życia, pod jednym wszakże warunkiem — że ukończymy ją w przewidzianym terminie, nie repetując ani roku! Ja pozostaję wiecznym studentem. W murach Jubilata także szło mi średnio, jedyna moja piątka w indeksie widnieje obok podpisu prof. Łubnickiego z... filozofii. Niestety, obiecujące wyniki w tej chlubie wszystkich dyscyplin naukowych, życie rozmieniło na drobne rezonerstwo felietonisty. Pozostaje mi jednak głęboka satysfakcja z faktu, że wielu, bardzo wielu z mojego rocznika uniwersyteckiego, ba, z mojego pokolenia, zaszło bardzo wysoko. Niektórzy tak wysoko, że widać ich już tylko w blasku błyskawic!

Pozostający z szacunkiem

Henryk Pająk

Wiersze Anny L. Lönnqvist

w przekładzie Andrzeja M. Kołaczkowskiego

Anna Lisa Lönnqvist (ur. 1935) narodowościowo należy do tzw. Szwedo-Finów, czyli do mniejszości szwedzkiej w Finlandii. Mieszka w Jakobstad, niewielkim mieście o większości szwedzkiej, położonym w zachodniej Finlandii, nad Zatoką Botnicką.

Twórczości literackiej nie uprawia zawodowo. Odebrała wykształcenie handlowe i przez kilkanaście lat była kierowniczką dużego domu towarowego, ale chroniczna choroba zmusiła ją do poniechania pracy. Wiele czasu spędziła w szpitalach, stąd jej współczucie i zrozumienie dla ludzi chorych, co znalazło wyraz w jej twórczości poetyckiej. Wydała trzy własne tomiki wierszy, noszące tytuły: „Ljuset" (Światło), „En annan värld" (Inny świat) i „Livet" (Życie). Poza tym wiersze jej wchodzą w skład paru tomików zbiorowych, jak „Lyrik", gdzie jej dział nosi tytuł „Spotkania".

* * *

Wiatr rozsiewa biedę
po świecie.
Stworzenie czeka
— Ludzie nienawidzą

Nic się nie dzieje.
Podczas gdy stworzenie cierpi
powinieneś pozostawać
w modlitwie.

* * *

W godzinie zmroku
błyszczy zamek na wzgórzu.

Gdy ten się zawali
Chrońcie życie od zagłady.

* * *

Szukałam słów
wybrałam pięć
chroniły mnie one
w swej surowości.

Znalazłam cztery słowa
zaschło mi w gardle
od ich pustki

Trzy błyszczące słowa
stały w jednym rzędzie
wyczerpane

Wstąpiłam
pod wysokie sklepienie
objęły mnie dwa słowa.

Kochane dzieci.

* * *

Cisza i ciemność
stały się twymi przyjaciółmi.

Jakieś sprawy dręczą Cię

Już się nie boisz
może przyjść kiedy zechce.

* * *

To co dałeś
trzymam w swojej dłoni.

Druga dłoń
jest zaciśnięta.

W ogrodzie
wybrałeś swego sługę.

Jestem tak nieznaczna
jednak wędrowanie odbywa się
w poufnej wspólnocie.

* * *

Przy pierwszym słupie milowym
napotkałam troskę
która pogrążyła mnie
w cieniach.

Przy drugim rozstaju
napotkałam Boga
który powiódł mnie dalej.

Później wszystko przeszło
w ciche oczekiwanie.

* * *

Samotny liść
trzymasz w dłoni
każdy nerw
nadaje liściowi napięcie.

Żyjesz tu
gdzie życie nigdy
nie kładzie się na spoczynek.

Cisza ucieka
przed uderzeniami młota.

* * *

Pozostań przy źródle
dojrzyj jasność
między nagimi konarami.

Wędruj dalej po drogach
Ku jakiejś obietnicy.

* * *

Powinnaś śpiewać
na własny sposób.
Śpiewać jak srebrny dzwonek

* * *

Ciągle w drodze
dokądś
jak wysłaniec

Wysłany przez kogoś
ze światłem lub ciemnością
w twej dłoni.

* * *

Zobaczyłam Cię
Gdy odbierałeś pocztę
ale tylko na odległość.

Nie jesteś nigdzie
dopasowany
a może jesteś?

Pytasz,
ile jeszcze pozostało drogi?
Nikt ci nie odpowiada.

Spiesznie mijasz
kobietę pod krzyżem
i musisz zdążyć dalej.

* * *

Byłeś tam w dole
wśród chrustu i gąszczu,
brudny i mokry.
To było coś
co cię zatrzymywało.
Wyciągnąłeś swoją dłoń
nie wzięłam jej
była odrażająco czarna

Dzisiaj, gdy widzę
moją własną dłoń
ona jest równie czarna
ale teraz jest już za późno.

* * *

Gdy tak siedzisz
i dmuchasz na żar
nadchodzi ona
ofiarowuje ci dary
które radują twoje oczy.

Z policzkiem przyciśniętym
do szyby
widzi między chmurami
jasną postać.

Wychodzi jakiś blask
okrywa szczelnie ziemię
i całe stworzenie
jednoczy się.

Ona nie stoi dłużej
przy oknie.
Ty nie dmuchasz więcej pod żar.

* * *

Nie możesz żyć
nie oddychając.

Nie możesz oddychać
nie żyjąc.

Dziwna współgra.

* * *

Ostrożnie wędrujemy
na zewnątrz
obawiając się upadku.

Krążymy wokół
z zawiązanymi oczami
mijając płaczących ludzi.

Wędrujemy na zewnątrz
bez odpoczynku
z powodu sumienia.

* * *

Zgodzili się
co do udręczenia,
które mieli dzielić.
Szarpali i targali,
zdeptali wszystkie owoce.

Płakały dzieci
opuszczone
w cieniu drzew

Naraz rozbłysło słońce
a niebo zawołało.
Drzewa stały cicho
bezgłośnie milcząc,
a dzieci śmiały się.

* * *

Czy przyjdziesz rychło,
wcześnie czy późno?

Zbieramy się do drogi
i zapalamy na koniec
nasze pożegnalne światła.

Niebo zmienia barwę
gdy nadchodzi tęsknota
i łzawi.

* * *

Gdy wieją złe wiatry
człowiek zamiera
od jednej kropli,
dusza tęskni za bezpieczeństwem.

Żadnej budzącej lęk
ciszy samotności,
żadnej ucieczki od rzeczywistości
tylko błogie istnienie.

* * *

Nigdy ludzkie zakłamanie
nie było tak prawdziwe.
Gdy dym wzbija się
ku niebu
przeciągając łagodnie drżące ciało

Rysował Edward Inglot

O ideach

W NAUCE panuje powszechny pogląd, że u źródeł cywilizacji leży grzebanie zmarłych a następnie ich kult czyli pamięć o przodkach. Greckie „koimeterion" — miejsce spoczynku — położone było na krańcach miasta i nazywało się „nekropolis" (nekrós — trup, pólis — miasto, „miasto umarłych") Zostało to łącznie z innymi wartościami kulturowymi Greków, przyjęte przez Rzymian jako pewien wzór obyczajowy i obrzędowy. Złączone z elementami kultury łacińskiej (rzymskiej) i nasycone wartościami religii chrześcijańskiej wprowadzone zostało do tradycji i świadomości społecznej ludów Europy

Ale nie tylko takie były źródła idei grzebania zmarłych Podobne spotkać można w innych kręgach cywilizacyjnych, u Egipcjan Celtów bądź Etrusków gdzie wiara w życie pozagrobowe i kult zmarłych choć w odmiennym kształcie, były równie powszechne. Nie odcisnęły jednak tak wyraźnych śladów w formowaniu chrześcijańskiej tradycji europejskiej, poza formą grobu (grobowca) przejętą od Etrusków przez Rzymian i z kolei przez nich upowszechnioną

Greckie nekropola były miejscem kultu, ziemią szanowaną i uświęconą. Tę tradycję przejęło chrześcijaństwo i zmodyfikowało, nakazując grzebanie

Jerzy Utnik

PŁONĄ ZNICZE

płoną znicze
czas wspomnień
ożyły marsze pieśni
tych
co odeszli

seans śmierci

zjednani z ziemią
płomieniem słowa nadają
tu
kamień zmurszały jak
człowiek

tu
zaschnięte w barwy
mundurów

łzy
świeże czyjichś wspomnień
kwiaty

pochylże głowę ty który jesteś
przechodniem

zmarłych pod kościołami lub w ich pobliżu. Przez długie jednak stulecia, bo jeszcze w XVIII wieku nie zakładano „trwałych" grobów a miejsca cmentarne przekopywano i równano by zyskać miejsce na nowy pochówek Tylko elita społeczna w epoce feudalizmu utrwalała swoje imię w różnej formie epitafiów lub artystycznie wykonanych nagrobków a prawo budowania murowanych grobów przysługiwało dobroczyńcom kościoła.

Polskie synody prowincjonalne z lat 1233 i 1248 stanowią, że cmentarze mają prawa „immunitatis ecclesiae", czyli schronienia, a synod gnieźnieński w 1512 roku nakazał ogrodzenie ich murem, parkanem, albo okopanie rowem. Cmentarz przykościelny był miejscem wiecznego spoczynku dla mieszkańców parafii, chyba że wybrali sobie inne miejsce grobowe.

Łącznie z obrzędem pogrzebu powstała w świadomości społecznej idea grobów-cmentarzy a formowana historycznie i utrwalona w tradycji stała się miejscem swoistej więzi pokoleń. Obrzędowość nasycona w tej więzi pierwiastkiem religijnym łączyła też elementy dawnych kultów pogańskich, niezwykle silnie zakorzenionych w

grobów wojennych

Mieczysław Wieliczko

świadomości, jeśli wspomnieć, że np. u Słowian polskich istniał zwyczaj składania na grobie gałęzi, aby „... gdy stos się zgromadzi, zgorzała ogniem, przez który czyściły się dusze nieboszczyków", jak pisze Zygmunt Gloger, znakomity znawca tradycji ludowej.

Warto zauważyć że żadne ze społeczeństw współczesnej Europy nie zdobi grobów wieńcami i gałęziami w tak bogatej formie, jak to można widzieć na polskich cmentarzach, nie tylko w dzień Wszystkich Świętych i Dzień Zaduszny. Światła kwiaty wieńce tłumne odwiedzanie cmentarzy i grobów rodzinnych jest współczesnym wyrazem pamięci o zmarłych.

W tym miejscu trzeba urwać wątek ogólny i tyczący, rzec można, normalnych kolei ludzkiego losu, w którym cmentarz i mogiła współistnieją w krajobrazie kulturowym w środowisku, w łączności ze społecznością podtrzymującą więź z przodkami. Nie brakło w dziejach przyczyn zrywających tę więź, łamiących tę normalną formę tradycji. Jedną z nich jest wojna, śmierć w boju i grób wojenny. Z dala od rodowej siedziby, w miejscu nieznanym i ziemi obcej... To była przyczyna sprawcza formowania nowych idei, a z czasem i tradycji.

U ich podstaw legło poczucie sprawiedliwości w świadomości ludzi — sprawiedliwości w wojnie obronnej, prowadzonej w imię zachowania życia, pokoju i ciepła ogniska domowego. Tych żołnierzy, że użyję współczesnego określenia otaczała szczególna pamięć bliskich i społeczeństwa. Z nimi złączyły się idee grobów wojennych. Ich ofiarę życia w poczuciu sprawiedliwości należało utrwalić, a imię-postać zachować nierzadko jako wzór wychowawczy.

Przez stulecia, gdy w wojnach uczestniczyły armie, których wielkość wyrażały liczby cztero-, pięciocyfrowe, a kilka bitew przynosiło już jakieś rozwiązanie pokojowe, poległych grzebano w zbiorowych mogiłach na miejscu walki. Ich imię rzadko zachowało piśmiennictwo, mogiłę, z reguły bezimienną, „przeorała" postępująca cywilizacja, a zwycięskiego wodza honorowano kolumną łukiem triumfalnym, jak to najpełniej rozwinęli Rzymianie. W tym kształcie artystycznym znaku zwycięstwa przechowywana była anonimowa, ale jednak pamięć o poległych.

Chrześcijaństwo do tych idei dołączyło bryłę kościoła (także fundowanego jako votum dziękczynne), symbolikę krzyża na oznaczenie grobu wojennego, a z czasem począwszy od XVI wieku, także rzeźbę figuralną tablicę-epitafium (imienną), dekorację malarską lub stiukową. Forma artystyczna tych „wypowiedzi" idei zachowania pamięci o żołnierskich ofiarach wojny w jakimś stopniu zastępowała bliższy związek z mogiłami znaczącymi drogi poszczególnych kampanii wojennych.

Klasyczne wojny między państwami, a nie narodami, trwające do schyłku XVIII wieku, pozostawiły w tej tragicznej części dorobku cywilizacyjnego taki kształt idei grobów wojennych.

Przełom rozpoczęła Wielka Rewolucja we Francji w 1789 roku która upowszechniła przeświadczenie, że wspólną miarą wartości społecznych pozostaje Człowiek. Wywołało to żądanie grobu imiennego i indywidualnego dla poległych obrońców ojczyzny. Święta sprawa obrony rewolucji i ziemi ojczystej była w odczuciu społeczeństwa tak wielka, że domagała się takiej formy pamięci — idei grobów wojennych o jednakowych nagrobkach.

Odtąd, od przełomu XVIII i XIX wieku, datuje się prawo żołnierza do grobu indywidualnego. Ale ów przełom stuleci to czas wojen napoleońskich, w których stają w szeregach armie wyrażane w siedmiu cyfrach i... kończy się epoka wojen klasycznych. Rozpoczyna epoka wojen narodowych, także wojen z napadniętym narodem.

W 1807 roku na szczycie wzgórza Pól Elizejskich Napoleon Bonaparte rozpoczął budowę Łuku Triumfalnego, zamierzając połączyć tu wiekową tradycję (łuk wzorowany jest na budowli cesarza Konstantyna w Rzymie) i idee rewolucji, poświęcając monument chwale armii francuskiej. Na ścianach wewnętrznych wykuto nazwy 128 bitew z czasów rewolucji i cesarstwa oraz nazwiska 660 marszałków i generałów, którzy wyróżnili się w poszczególnych kampaniach. Są tu nazwy bitew rozegranych w latach 1806—1807 na ziemiach polskich pod Pułtuskiem, Ostrołęką, Lidzbarkiem i Gdańskiem oraz nazwiska polskich generałów-bohaterów: Poniatowskiego, Kniaziewicza, Dąbrowskiego, Zajączka, Sułkowskiego, Chłopickiego i Łazowskiego.

Na frontonie Łuku i jego tylnej ścianie umieszczono cztery płaskorzeźby przedstawiające sceny batalistyczne, z których najbardziej znana „Wymarsz ochotników 1792 roku" (nazywana też „Marsylianką" dzieło Francois Rude'a) jest najpełniejszym i artystycznym wyobrażeniem owej rewolucyjnej świadomości obrońców ojczyzny.

Pod sklepieniem Łuku, między przednimi filarami umieszczono 11 listopada 1920 roku Grób Nieznanego Żołnierza poległego w I wojnie światowej. W ten sposób powstał nowy etap w idei grobów wojennych.

Rys. Józef Tarłowski

Jak do tego doszło? Imperialistyczna wojna „powołała" do szeregów 70 633 tys. obywateli 33 państw zamieszkanych przez połowę ludności ówczesnego świata. W zmaganiach bitewnych poległo 9 422 tys., w tym 39 tys. otrutych gazami bojowymi. W XIX wieku ukształtowała się tradycja „ius in bellum" (prawo wojenne), stanowiąca cały katalog prawnych ograniczeń w prowadzeniu wojny, czego wyrazem stały się konwencje, począwszy od „deklaracji paryskiej" z 16 kwietnia 1856 roku, po II konferencję w Hadze, na której 18 października 1907 roku przyjęto aż 13 konwencji. Pośród tych norm prawa wojny jest także nakaz wyposażenia żołnierzy w trwałe znaki identyfikacyjne, nazywane nieśmiertelnikami. Było to zabezpieczenie prawa człowieka (żołnierza) do grobu indywidualnego i imiennego.

W toku zmagań na frontach I wojny od razu urządzano cmentarze, grzebiąc poległych w kwaterach (działkach) narodowych, albo powstawały cmentarzyska żołnierzy jednej armii, choć nie zawsze jednego narodu i wyznania. Obok symboliki religijnej i alegorii militarnych, wyrażanych w artystycznym detalu architektonicznym lub rzeźbie figuralnej, pojawiły się symbole bezsensownej śmierci, najczęściej wyrażane w różnych sentencjach-cytatach. Były to swoiste apele pokojowe. Wtedy powstała powszechna tradycja jednakowych nagrobków imiennych, obok zachowania hierarchii wojskowej w porządku następującym: oficerowie według starszeństwa stopni w centrum cmentarza (w pobliżu ogólnego symbolu), a dalej podoficerowie i szeregowcy.

Pola bitewne Europy pokryły owe nekropole, jakby jednakowe, bo śmierć żołnierska była „równa" dla wszystkich, ale różne co do motywów religijnych, bądź narodowych tradycji pochówku zmarłych i artystycznego odczucia alegorii militarnych, jak znaki broni i służb w poszczególnych armiach. Pojawiły się na tych cmentarzach mogiły nieznanych żołnierzy, którzy albo nie posiadali „nieśmiertelników", albo ich przy poległych nie odnaleziono. Na niektórych pobojowiskach, np. pod Ypres (w zachodniej Belgii), gdzie Niemcy 22 kwietnia 1915 roku użyli w masowej skali gazów bojowych (180 ton ciekłego chloru, który utworzył obłok 57 tys. m sześc. gazu!, porażeniu uległo około 15 tys. żołnierzy brytyjskich a ponad 5 tys. zginęło), kilka wzgórz ogrodzono i zamieniono na wojenny, bezimienny cmentarz. W tej okolicy 12 lipca 1917 roku Niemcy użyli pocisków artyleryjskich z „gazem musztardowym" (nazywany odtąd iperytem), co przyniosło podobnie ciężkie straty i nowe bezimienne cmentarze w ziemi okaleczonej, na której trawa pojawiła się dopiero w dziesiątki lat po bitwie... Straty obu stron w bojach pod Ypres sięgają 640 tys. żołnierzy. Ale nie tylko tu była wielka liczba nie zidentyfikowanych poległych. Dlatego powstała idea utrwalenia ich pamięci.

W innym miejscu ciężkich bojów „na wyczerpanie", pod Verdun, gdzie zginęło ponad milion ludzi, w podziemiach cytadeli 10 listopada 1920 roku ustawiono 8 trumien nieznanych francuskich żołnierzy poległych na linii frontu od kanału La Manche do Wogezów. Szeregowiec Auguste Thin, najmłodszy z ochotników ostatniego roku wojny, miał dokonać wyboru prochów jednego poległego, którego szczątki zamierzano złożyć w dniu następnym pod Łukiem Triumfalnym, jako symbol wszystkich nieznanych żołnierzy — obrońców ojczyzny. Szeregowiec Thin okrążył trumny ośmiokrotnie regulaminowym krokiem musztry i złożył wiązankę trójkolorowych kwiatów (barwy narodowe Francji) na trumnie nr 6. Upamiętnił w ten sposób swój 132 pułk piechoty, bowiem suma cyfr numeru jednostki wynosi 6. Trumnę z honorami wojskowymi złożono pod Łukiem Triumfalnym w drugą rocznicę zakończenia wojny. Idea Grobu Nieznanego Żołnierza przyjęła się dość powszechnie w Europie. Tylko w Niemczech ze względu na federacyjny charakter państwa, idea ta nie przyjęła się nigdy i powstały inne formy pamięci o poległych.

Pierwsze Groby Nieznanego Żołnierza na ziemiach polskich założono w Warszawie w 1925 roku, Jaśle, Krakowie, Lublinie i odtąd z tym miejscem związana jest tradycja okolicznościowych uroczystości.

Tak więc po I wojnie dokonano pewnej transformacji w idei grobów wojennych, w której państwo „zobowiązało się" do uczczenia wszystkich poległych, utrwalenia ich tożsamości i pamięci.

W tej formie tradycja ta dotrwała do II wojny. Śmierć w tej wojnie przez jej totalny charakter, zbrodniczy sposób prowadzenia walki i zbrodnie ludobójstwa w deportacjach, pacyfikacjach i obozach różnej kategorii — śmierć milionów osób cywilnych, przyniosła odmienne idee grobów wojennych, nową ich symbolikę i formę artystyczną. Słowa na frontonie Mauzoleum-Panteonu na Majdanku „LOS NASZ DLA WAS PRZESTROGA" zdają się być powszechnym przestrzeżeniem i moralnym nakazem pamięci nie tylko w tym miejscu współczesnego świata...

Tadeusz Chróścielewski
CMENTARZ W NAŁĘCZOWIE

W Nałęczowie na grobach moc krzyży, moc czerwi
(te używają życia z sarmackim wigorem).
Klon jak lilie z ballady: wyżej, im kość głębiej.
Niecierpliwym kochankom dzwon klaszcze za borem.

Klaśnięcia te granicą szczelną między sercem,
słowem, rylcem i bielszym nad śniegi piszczelem...
i pamięcią niknącą... W jesienną przedwieczerz
miast zniczów, skwierczą w dali ziemniaki w popiele.

Bo nie wie czołg człowieczy miażdżąc w oślep trawę,
że pod jej kłębem Polska zawarta w rycinach,
że spiż „Pieśni królewskiej" kołysze otawę,
że „Dziwną antyfonę" nuci jarzębina.

Nie wie husarz kolejek i zagończyk melby,
że tu wygniło Serce — znicz nie wygaszony
uczuć żony i matki i rdzewieją strzelby
powstań rozdziobywanych przez kruki i wrony.

Pod chmurą tak upartą jak krążący bolid
trzaskę słowa zapalę. Może tu wychwycę
cień łez Twoich, Oktawio, i Twoją, Andriolli,
baśń węglem i Twe, Gliński, przeżółkłe stronice,

i Twoich, Babiniczu, ksiąg pod strzechy brzemię?...
i zwid słów nie zerwanych niczym kwiat paproci
przed chwilą, gdy nieludzko pracowity lemiesz
worał był między czerwie non moriar kości.

Bo te zwiąże ze szpikiem zachmurny sacrosong
w Dolinie Bochotnickiej albo Józefata...
Lecz tamtych słów odpierzchłych jak przepiórki w proso
tu nadal zawieczysta będzie strzec łopata.

Henryk Pająk
W SYLABACH LIŚCI

Od ściany sosen ciemny oddech głosów:
krzyku, tętentu, skrzypów, szeptu.

Czego
ode mnie chcecie, umarli? Przecież
nie wskrzeszę ani was ani tej wioski,
jej woni, zgryzot, kwasów.

I przyzb
ze starcami prawiącymi o śmierci i plonach;
nawet tej dziupli w klonie dzieciństwa
mrocznej jak sen nietoperza; owiec
pobekujących szyderczo.

To wszystko musnęło mnie, przewiało tędy
a teraz wraca
w sylabach liści, którymi
przywołujecie mnie każdej jesieni:
„Wystarczy. Chodź już. Tyś nasz".

To był ostatni wolny człowiek

Ciąg dalszy ze str. 1

chał gdzieś do rodziny... O, to tutaj, ta chałupka.

Wysiadam, również za grzeczność dając coś kierowcy, bo zatrzymał się tuż przy chatce. — Nie, nie, nie trzeba — broni się, ale zostawiam dziesiątkę i wyskakuję z autobusu.

Po obu stronach szosy stoją piętrowe kamienice, między nimi — prawie że waląca się drewniana chałupka. Co prawda kryta nie strzechą lecz eternitem, ale nadająca się do skansenu lub rozbiórki. Podchodzę bliżej. Na podwórku ani śladu życia. Drzwi zamknięte na wielką żelazną kłódkę. Idę więc do sąsiadów naprzeciwko.

— Przepraszam, czy nie wie pani, gdzie teraz może być pan Wacław? — pytam spotkaną na podwórzu kobietę.

— Jaki Wacław?

— Ten, co mieszka w tej chatce po drugiej stronie szosy.

— Malinowski?

— Nie wiem, jak się nazywa. Ten, co zajmuje się garbowaniem skór.

— Wacław... O, to już ze dwa miesiące minęło, jak umarł.

— Umarł?!

— Jakoś to było pod koniec stycznia lub na początku lutego. I pieniędzy za skóry nam nie oddał.

— Na co zmarł?

— Ano, nie był już młody, miał chyba z osiemdziesiątkę. Myślałam, że może rodzina odda te pieniądze, ale gdzie tam.

— Daleko stąd mieszka jego rodzina?

— Brat, o tam — kobieta wskazuje ręką — w tym domu otynkowanym na buraczkowo. Siostra jakieś siedem kilometrów stąd, w tej wsi, z której Malinowscy pochodzą. Brat Józek — szkoda gadać — ma pół domu wolnego, a Wacław w tej chałupinie mieszkał. Nawet na wigilię Wacława nie zaprosił. Sąsiadka nieraz przynosiła Wacławowi mleka, a bratowa nigdy. Jak zachorował, też nie wezwali lekarza, bo chyba pieniędzy było szkoda.

— Co to za skóry, o których pani mówiła?

— Chłopaki złapały dwóch lisów. Skóry zanieśliśmy do Wacława, żeby wyprawił. Były już gotowe, ale przyjechała do Wacława jakaś dziewczyna, której obiecał podarować skórki na czapkę. Postawiła butelkę wódki. Coś wypili, a potem ona powiedziała, że pójdzie się wysikać. Wyszła i już nie wróciła. Wacław usłyszał warkot rusającego samochodu, wybiegł z domu. Było za późno — dziewczyna odjechała. Ukradła mu kilka skór z lisów i borsuczy. Myśleliśmy, że Wacław zapłaci nam za te dwie skóry, ale gdzie tam. Umarł i na tym się skończyło. Rodzina też nie zapłaciła.

●

Otwieram furtkę i wchodzę na podwórko. Buraczkowy domek co prawda nie jest duży, jednak znacznie ładniejszy od stojących wzdłuż drogi wielkich, piętrowych kamienic bez żadnego wyrazu. Rosnące przed domem bzy dopiero puszczają listki, ale w ogródku zieleni się już trawa, kwitną przebiśniegi. Jakżeż pięknie musi tu być latem.

Na podwórku stoi traktor z włączonym silnikiem.

— Dzień dobry! Tutaj mieszka pan Malinowski? — upewniam się przekrzykując warkot.

— O co chodzi? — pytaniem na pytanie odpowiada starszy człowiek, siedzący za kierownicą.

— Chciałbym porozmawiać z panem Józefem!

— To ja — mężczyzna gasi motor.

— Chciałbym napisać artykuł do gazety o pana bracie, Wacławie.

— Nie mógłby pan wstąpić po południu? Teraz jedziemy w pole, szkoda takiej ładnej pogody zmarnować. Syn przyjechał z Lublina, pomógłby trochę...

— Dobrze, będę przed wieczorem. A jak trafić do pana siostry?

●

Miejscowość, w której znajduje się urząd gminy, może być przykładem kolosalnych przemian, jakie po wojnie zaszły na polskiej wsi. Próżno by tutaj szukać drewnianych chatek; na podwórkach stoją ciągniki, Żuki, samochody osobowe. Dom z numerem 125 osiadł na niewielkiej górce. Kobieta, którą spotykam w zagraconej kuchence, robi właśnie pranie. Jest to Wacława siostra. Wyciera ręce i zaprasza mnie do pokoju.

— Jak to było z Wackiem? Ano cóż, nie ożenił się — opowiada. — Gdyby ożenił się, może życie ułożyłoby się mu inaczej. Dlaczego się nie ożenił? Skąd ja tam mogę wiedzieć. Chyba sam nie chciał, bo w młodości niejedna by za niego wyszła — przystojny był... Skąd miał pieniądze na życie? Łapał piżmaki, tchórze, kuny i sprzedawał skóry. Ludzie też przynosili do niego, żeby wygarbował. Nie było chyba drugiego, co tak potrafił wypchać ptaki. Tę sowę i tego bażanta, co stoją na szafie, to on zrobił. Niech pan zobaczy — jak żywe... Wacław dostawał z gminy zapomogi; nieduże, ale zawsze coś. Do nas często przyjeżdżał. Zawsze go czymś poczęstowałam — kanapką, obiadem. Przecież to był brat. Ja nie taka, jak Józkowa, co nigdy mu do jedzenia nic nie dała... Jak to było z jego chorobą? My nic nie wiedzieliśmy. Leżał chyba z trzy dni, zanim Józek do niego poszedł. Żeby od razu przywiózł doktora, może Wacław by żył. Kiedy przyjechał lekarz z gminnego ośrodka, było już za późno. Zrobił zastrzyk i kazał wezwać pogotowie. Karetką pojechałam do szpitala. Następnego dnia rano dowiedzieliśmy się, że Wacław umarł.

●

— Wacława dobrze znałem, kto zresztą go nie znał — mówi lekarz z gminnego ośrodka zdrowia. — Wciąż w drodze, w domu długo nie usiedział. To na targ, to do miasta, to gdzieś ze skórami jeździł. W promieniu kilkudziesięciu kilometrów każdy go znał. Najłatwiej można go było spotkać w którejś z restauracji. Sam nie gotował, a i wypić sobie lubił... To był człowiek o końskim zdrowiu. Nigdy nie chorował, choć miał 80 lat. Kiedy pojechałem do niego, był już w stanie bardzo ciężkim. Gorączka 40 stopni, obustronne zapalenie płuc. Niewiele mogłem mu pomóc. Powiedziałem rodzinie, żeby wezwali pogotowie.

●

Naczelnik gminy kieruje mnie do osoby, która zajmuje się sprawami opieki społecznej. Pani referent otwiera skoroszyt.

— Malinowski... Nie potrafię panu w tej chwili dokładnie podać, ale chyba od 15 lat regularnie otrzymywał zapomogi. To znaczy nie tak bardzo regularnie, bo często nie zgłaszał się z podaniem o dalsze udzielanie pomocy pieniężnej. Zazwyczaj sami pisaliśmy za niego podania i wzywaliśmy go tylko po to, żeby podpisał. Nasza gmina nie należy do biednych, podopiecznych mamy niewielu. Dlatego mogliśmy dawać Malinowskiemu, choć niektórzy sprzeciwiali się, bo — wie pan chyba — nigdy nigdzie nie pracował, przesiadywał w restauracjach, kelnerkom dawał czekolady. Przed czterema laty kupiliśmy dla niego eternit i zapłaciliśmy robotnikom za wymianę pokrycia dachu. Wstyd nam było — jeden dom we wsi kryty strzechą. To tyle, co mogę panu powiedzieć.

●

Restauracja nazywa się „Myśliwska". Wnętrze jak w wielu innych GS-owskich knajpach. Minęła 13-ta, więc gwar nasila się, stoliki zapełniają butelkami piwa. Pani Krysia, kierowniczka, częstuje kawą.

— Pana Wacława znałam jeszcze z czasu, kiedy pracowałam w mieście — opowiada. — Byłam wtedy kelnerką w „Parkowej". „Dzień dobry kotulu", mówił na powitanie. To był bardzo wesoły człowiek. Przynosił nam kwiaty, opowiadał różne ciekawe historyjki, nie szczędził komplementów. Nosił ze sobą dokument, że pochodzi ze szlacheckiej rodziny; często nam go pokazywał. Narysowany był herb; dokładnie nie pamiętam, ale chyba na tarczy półksiężyc w koronie.

— Ten lis to właśnie od niego — pokazuje kołnierz szefowa kuchni. — W domu mam wypchanego pawia i sokoła, też od pana Wacława. Naprawdę, był to bardzo uprzejmy i kulturalny człowiek. Od swojego znajomego pszczelarza przynosił nam miód, taki złocisty, w kostkach. Pamiętam, że siedząc ze swoimi kolegami często mawiał: „Jak pić, to pić do dna! — Zawsze pan Wiesław, Stanisław i ja!". Wiesław Cebula i Stanisław Stępień byli jego najlepszymi kolegami. Od nich dowiedziałby się pan najwięcej o Wacławie. Cebula mieszka tu niedaleko.

●

— Kolegowaliśmy od dziecka — mówi Cebula. — Bardzo porządny człowiek, nigdy nikomu nie ubliżył. A jak się znał na zwierzętach, godzinami mógł opowiadać! Teraz już nie znajdziesz pan takiego, co by umiał dobrze wyprawić skórkę, wypchać ptaka czy kunę. W czasie wojny Malinowski był w partyzantce. Jednego razu oddział otoczyli Niemcy. Kilku partyzantów wzięli do niewoli. O mały włos, a Wacka by rozstrzelali. Udało mu się uciec, gdy wieźli go na egzekucję... Bardzo porządny człowiek, tylko że do kościoła nie chodził. Potem ksiądz mu nie chciał dać pogrzebu...

●

Kościół widać z odległości kilku kilometrów, stoi bowiem na szczycie wzgórza. Wiodą do niego kręte schodki. Trochę niżej znajduje się plebania. Drzwi otwiera starsza kobiecina, zapewne gospodyni księdza. Po chwili wychodzi truchcikiem zgarbiony proboszcz.

— Tak, początkowo nie chciałem się zgodzić na chrześcijański pogrzeb Malinowskiego. Nigdy nie był w kościele, a kiedy wstąpiłem do jego domu chodząc po kweście, nasłuchałem się nieprzyjemnych rzeczy. Powiedział, że nie wierzy w kościół powszechny; nauki Chrystusa nazwał bajkami. Niech Bóg mu wybaczy grzechy! To był jednak nieszczęśliwy człowiek, całe życie spędził w samotności. Z tej samotności to i w głowie mu się poprzewracało. W końcu zgodziłem się na udzielenie katolickiego pogrzebu. Świętej pamięci Wacław nie mógł przecież wyznać skruchy na ostatniej spowiedzi. Jak pan chyba wie, zmarł w szpitalu. Śmierć przyszła nagle.

●

Brat Wacława wrócił już z pola. Jeszcze umyje tylko ręce i usiądziemy w skromnie lecz schludnie urządzonym pokoju.

— W gospodarstwie to trzeba się narobić, nic samo nie przyjdzie — mówi. — Lato czy zima, zawsze jest robota. Wstaje się o świcie, a czasu i tak brakuje...

— Niech mi pan opowie o Wacławie, chciałbym coś o nim napisać.

— Proszę pana, co tu pisać. Ja z żoną dorabialiśmy się czterdzieści lat. Kiedy zaczynaliśmy, było puste pole. Gdy posadziłem ogród, sąsiedzi podśmiewali się. „Zające drzewka ogryzą, cudze dzieci jabłka oberwią, co z tego będzie miał?! To nie gospodarz!", mówili. Jabłonie wyrosły, zaczęły owocować, inni posadzili ogrody. Budowę domu zaczynałem od stu pustaków, które kupiłem za wziętą z banku pożyczkę. Było nam bardzo ciężko. A Wacław? Przez całe życie nic nie robił. Ja miałem 14 lat, to już pracowałem we młynie. Potem suszyłem śliwki, kupowałem na pniu jabłka — handlowałem. Gdy uzbierałem trochę pieniędzy, założyłem we wsi mały sklepik. A Wacław chodził tylko z fuzją i polował na zające. Kiedy wziął pieniądze za ziemię, która pozostała po rodzicach, kupił sobie smoking i kapelusz. Resztę pieniędzy stracił. Potem mówił, że w mój sklep wpakował... Po wojnie musiał oddać strzelbę, więc w sidła łapał piżmaki, zające, lisy. Wyprawiał i sprzedawał skóry. Jak pojechał ze skórami do Gdańska, brał od razu po 40—50 tysięcy złotych. A w latach 60-tych była to olbrzymia suma! Co z tego, skoro nic nie odłożył. Laluniom z restauracji kupował prezenty, stawiał wódkę i tak się pieniądze rozchodziły... Kiedyś sam toczyłem po drodze beczkę lepiku. Przechodził akurat, więc mówię, żeby mi pomógł. „Czyś ty głupi, że tak harujesz?!", odpowiedział i poszedł dalej. Innym razem mówił do siostry, że Józek to tak robi w dzień i w nocy, że aż wysechł, policzki mu się zapadły... Co to był za człowiek! Gdy przyszedł do mnie do domu, zaraz swoje morały zaczął opowiadać. Oglądamy telewizję, a on wciąż jedno i to samo — że mówią nieprawdę. Uważał, że nie ma od niego mądrzejszego człowieka. Gdy spaliła się stara chałupa po rodzicach, kupił tę budę krytą strzechą, zamiast wybudować choćby mały domeczek. W tej budzie lało mu się na głowę, ale dziur w dachu nie naprawił. Dobrze, że gmina dała mu eternit i zapłaciła robotnikom za wymianę pokrycia.

— Dlaczego się nie ożenił?

— To był dziwak. Ta nie była ładna, tamta za stara, inna znowu z garnka łyżką kosztowała zupę. Ale jak podali mu w restauracji, to było dobrze. Swataliśmy go z kuzynką naszych sąsiadów. On miał wtedy po 40-toe, ona tyle samo. Powiedział na to, że ożeniłby się, ale z córką sąsiadów, która miała wtedy 20 lat.

— Podobno wywodzicie się ze szlacheckiej rodziny.

— Prawdopodobnie moja praprababka pochodziła ze zubożałej szlachty, ale nikt tego nie sprawdzał. Czy to zresztą ważne?

— Dowiedziałem się, że Wacław w czasie wojny walczył w oddziale partyzanckim.

— Gdzie on tam walczył! Kiedyś z kolegą wracali nad ranem do wsi. Nadjechali akurat kozacy na koniach. Oni zaczęli uciekać, bo mieli przy sobie broń. Wpadli do stodoły. Kozacy okrążyli stodołę i zabrali ich. Dobrze, że pistolety zdążyli wyrzucić, bo inaczej od razu — kula w łeb. Kiedy dowiedziałem się, że Wacława kozacy zabrali, poszedłem do mojego znajomego, który był doktorem i leczył syna dowódcy kozackiego oddziału. Doktor zaczął pro-

do atamana, żeby Wacława wypuścił. Potem moja żona wzięła kilka kilo kiełbasy, litrową butelkę bimbru i zaniosła żonie atamana. Po kilku dniach Wacława i jego kolegę wypuścili... Ale proszę, niech pan skosztuje swojskiej kiełbasy. Obiad nie zawsze jest czas gotować...

Żona Józefa postawiła właśnie półmisek z przyrządzoną na gorąco kiełbasą.

— Może kiszonego ogórka... W tym roku udały się żonie jak nigdy — zachęca gospodarz. — To jest mój najmłodszy syn, studiuje prawo — przedstawia wchodzącego młodzieńca. — Przyjechał na trzy dni, żeby pomóc w polu. Cieszymy się z żoną, że dzieci udało się nam wykształcić. Dwie córki są nauczycielkami, syn inżynierem...

— A kto przejmie gospodarstwo? — przerywam.

— Póki jeszcze możemy, to robimy, ale ze zdrowiem coraz gorzej. Żona leży się na serce, ja odczuwam stawy. Zawsze wiem, kiedy będzie deszcz, prognozy pogody nie muszę słuchać. Chcielibyśmy, żeby najmłodszy gdzieś blisko pracę znalazł...

— Pan Wacław długo chorował?

— Zawsze mówiłem, że wszystkich z rodzeństwa przeżyje. I tak by było, gdyby inaczej sobie życie ułożył. Miał zdrowie jak żadno z nas. Tyle się nachodził po nocach, namarzł w zimie, a nigdy nie chorował. Wtedy w styczniu ze szwagrem i jego córką pojechał na stację kolejową. Siostrzenica odjeżdżała do Poznania, miała ciężkie pakunki. Wracał nocą. Czekał na jeden autobus, potem na drugi — przemarzł do szpiku kości. Następnego dnia rano przyszedł do nas dygocząc z zimna. Żona włożyła mu na talerz gorących ziemniaków z barszczem. Zjadł i pojechał do miasta. Potem przez dwa dni nie widzieliśmy go. Żona mówi do mnie: „Idź, zobacz, może chory". Chyba został u siostry, powiedziałem, bo często nie wracał do domu nawet przez kilka dni. Poszedłem jednak zobaczyć. Leżał przykryty różnymi kurtkami, narzekał, że jest mu zimno. Rozpaliłem w piecyku, przyniosłem gorącej herbaty i coś do jedzenia. Następnego dnia zapytałem go, czy wezwać doktora. „Może mi przejdzie", powiedział. Spotkałem sąsiada siostry, więc poprosiłem, żeby ją powiadomił. Kiedy przyszedłem następnego dnia rano, zobaczyłem, że z Wacławem jest niedobrze. Nie chciał lekarza... Może wstydził się swoich brudów? Nie wiem. Może myślał, że jednak mu przejdzie? Poprosiłem sąsiada, żebyśmy jego samochodem pojechali do ośrodka po doktora. Potem wezwaliśmy pogotowie. W szpitalu, gdy go przebierali, pielęgniarka powiedziała: „Gdzie pan po takim błocie chodził?!". Kazała siostrze umyć mu nogi. Siostra dała jej stówkę, żeby sama umyła. Następnego dnia ze szpitala zatelefonowali do urzędu gminy... Gdyby siostra dała coś lekarzom, może zajęliby się Wacławem, a tak... Zostawili na łóżku i umarł. Musieliśmy się starać, żeby sekcji nie robili. Według przepisów powinna być sekcja, bo zmarł zaledwie kilka godzin po przywiezieniu do szpitala. Siostrze Wacław dał plik banknotów; ile tego było, nie mówiła. Powinna była coś dać lekarzom... Krowa ryczy, chyba chce wody. Przeproszę pana na chwilę.

Żona Malinowskiego robi mi drugą szklankę herbaty. Zostaję przy stole z najmłodszym synem.

— Stryj miał własną filozofię życia. Nie mieć żadnych obowiązków, pozostać całkowicie wolnym człowiekiem — to było jego życiowe credo. Można nie mieć obowiązków, jeśli nie założy się rodziny. Wybrał wolność, więc i samotność. To był właściwie ostatni wolny człowiek, taki polski traper. Można by go nazwać kłusownikiem, pasożytem społecznym, ale czy słusznie?! — niech pan powie. Łapał piżmaki, bo z tego żył. Innym ludziom był potrzebny, jak każdy normalny garbarz. Teraz skóry się niszczą, bo w okolicy nie ma żadnej garbarni... Właściwie to się dla Wacława dobrze skończyło — konstatuje przyszły prawnik. — Kto by się nim opiekował, gdyby wrócił ze szpitala, gdyby to była choroba przewlekła?! Musiałaby moja mama, a ona już ledwie chodzi, rano z łóżka nie może się podnieść. Ojciec ciągle w polu, ciotka przyjechałaby raz na jakiś czas. Właściwie to dobrze się dla Wacława skończyło.

Jerzy Leśniak

Co kryje archiwum po generale Sosnkowskim?

ZGODNIE z testamentem gen. Kazimierza Sosnkowskiego, wszystkie dokumenty z jego archiwum i pamiątki po nim przekazane zostały Polsce. Mundury i odznaczenia znalazły się niedawno w Muzeum Wojska Polskiego, a listy i inne dokumenty — w archiwach polskich.

Prof. Włodzimierz T. Kowalski, który miał okazję przestudiować te materiały, dzieli się uwagami o nich w rozmowie z dziennikarzem PAP.

— Archiwum, to — powiedział — obejmuje okres działalności generała od 1912 r. do 1969 r. tj. do jego śmierci. Składa się ono z dokumentów związanych z historią państwa polskiego, a także z korespondencji z różnymi osobistościami, przebywającymi na emigracji. Wśród nich znajdujemy wiele komentarzy własnych generała, związanych z rozmaitymi wydarzeniami historycznymi.

Ciekawa jest np. korespondencja z czasów wojny polsko-radzieckiej z 1920 r. pomiędzy gen. Sosnkowskim, wówczas wiceministrem spraw wojskowych a gen. Maximem Weygandem, jednym z głównych dowódców francuskich w okresie I wojny światowej. Wynika z niej, że sztab francuski nie orientował się w sytuacji panującej na frontach. Charakterystyczne, że cała ta korespondencja wyłączona została z normalnego obiegu kancelaryjnego i schowana w kasie pancernej. Dopiero w 1925 r. zaliczono ją do materiałów archiwalnych. Szef Sztabu Generalnego gen. Tadeusz Rozwadowski pisał, że uczynił tak gdyż właśnie rozpoczęły się rozmowy na temat sojuszu polsko-francuskiego. Gdyby dokumenty te znalazły się w rękach przeciwników sojuszu, byłyby silnym argumentem przeciwko niemu, a jednocześnie ukazałyby o jakich staramy się przyjaciół i strategów. Dowiódł tego wyraźnie wrzesień 1939 r.

Krytyk rządów sanacyjnych

W archiwum znajdują się również ciekawe dokumenty dotyczące roli, jaką odegrał gen. Sosnkowski na forum Ligi Narodów, gdzie reprezentował Polskę w komisjach rozbrojeniowych. W imieniu naszego kraju był promotorem konwencji w sprawie zakazu stosowania broni bakteriologicznej. Została ona przyjęta 17 czerwca 1925 r.

Inne dokumenty mówią wyraźnie, że po śmierci Józefa Piłsudskiego Sosnkowski kwestionował monopol sanacji na powoływanie władzy. Wypowiadał się za rządem jedności narodowej. Zgłosił się nawet do dyspozycji późniejszego marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego, który jednak nie przyjął tej deklaracji. Z tym samym projektem wystąpił w 1938 r., ostro krytykując politykę polską wobec Czechosłowacji. Uważał, że zajęcie Zaolzia przyspiesza moment walnej rozprawy z Niemcami, co potwierdziły wkrótce wydarzenia.

Inna grupa dokumentów ukazuje działalność gen. Sosnkowskiego w okresie wojny polsko-niemieckiej. Widział ogromne braki w przygotowaniu do wojny. Kiedy Rydz-Śmigły w pierwszych dniach agresji Niemiec na Polskę załamał się, proponował kilka wariantów prowadzenia działań zbrojnych, w tym objęcie dowództwa obrony Warszawy. Przypomnijmy, że gen. Sosnkowski był wówczas inspektorem armii okręgu Polesie, ale de facto do 11 września 1939 r. nie pełnił żadnych funkcji, po prostu był łącznikiem między marszałkiem Rydzem-Śmigłym a armiami polskimi; jego sytuacja przypominała status gen. Sikorskiego — tzn. był bez przydziału. Dopiero 11 września został mianowany dowódcą tzw. frontu południowego, w skład którego miały wejść armie — Karpaty i Kraków. Był to jednak okres, kiedy wszystko się załamywało i właściwie nie było z czego tego frontu tworzyć. Gen. Sosnkowski przedziera się ostatecznie na Węgry, a następnie przybywa do Francji.

Na ziemi francuskiej i brytyjskiej

Miał tutaj okazję objęcia funkcji naczelnego wodza, ponieważ gen. Sikorski oświadczył publicznie, że po jego przybyciu będzie respektował prawo starszeństwa; był wówczas generałem broni, a Sikorski generałem dywizji. Ponadto Ignacy Mościcki myślał o przekazaniu Sosnkowskiemu stanowiska prezydenta. Władysław Raczkiewicz, który otrzymał prezydenturę jak gdyby w depozyt, po przybyciu Sosnkowskiego do Paryża zaproponował mu objęcie tej funkcji. Jednak generał zrezygnował zarówno z prezydentury, jak i ze stanowiska naczelnego wodza. Uważał bowiem, że taki kontredans personalny będzie tylko szkodził sprawie polskiej.

Kolejna grupa dokumentów przybliża nam udział Sosnkowskiego w organizowaniu ZWZ, a także w ewakuacji wojska i władz polskich z Francji do Anglii. Był jednym z niewielu, którzy nie stracili wówczas głowy. Ukazują one również jego rolę w utrzymaniu się na stanowisku premiera gen. Sikorskiego po jego przybyciu do Londynu.

Inna partia archiwów dotyczy rokowań polsko-radzieckich i układu podpisanego przez rząd londyński z władzami radzieckimi. Sosnkowski wycofał się wówczas z rządu, nie na znak protestu przeciwko temu układowi, gdyż jego zdaniem bieg wojny nasuwa konieczność zawarcia takiego układu, natomiast przeciwny był artykułowi pierwszemu, który otwierał kwestię granic. Próbował on nakłonić Sikorskiego do zmiany formuły tego artykułu, ale to mu się nie udało.

Stosunek do Wł. Sikorskiego

Z dokumentów, na które składa się m.in. korespondencja z gen. Sikorskim, widać wyraźnie, że był wobec niego lojalny. Kilkakrotnie proponował, aby wysłać go do kraju, chciał objąć dowództwo AK. Kilkakrotnie też prosił o przydział liniowy. Gen. Sikorski nie spełnił tych próśb, a proponował mu jedynie placówki dyplomatyczne w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Brazylii i Chinach, chociaż nigdy nie zostały one skonkretyzowane.

Jak wiadomo, po śmierci Sikorskiego gen. Sosnkowski został mianowany naczelnym wodzem, wbrew stanowisku Stanisława Mikołajczyka. Trzeba powiedzieć, że między nimi stosunki układały się bardzo źle. Sosnkowski uważał, że Mikołajczyk jest ordynansem Churchilla. Rozmawiali ze sobą właściwie tylko na posiedzeniach Rady Ministrów, kontaktowali się też korespondencyjnie. Miało to fatalne skutki dla pracy w kraju, ponieważ doprowadziło do sytuacji, w której Mikołajczyk miał swoje kanały porozumiewania się, a Sosnkowski swoje.

Gdy zawiodły pertraktacje ze Związkiem Radzieckim, których celem miało być wznowienie stosunków z rządem londyńskim, Mikołajczyk postawił na generalne powstanie w kraju, natomiast Sosnkowski był temu zdecydowanie przeciwny.

Jednym z najbardziej spornych problemów w historiografii jest kwestia tego, w jakim stopniu gen. Sosnkowski jest odpowiedzialny za to, że nie wydał gen. Borowi-Komorowskiemu wyraźnego zakazu rozpoczęcia powstania w Warszawie. Moim zdaniem nie był w stanie wydać wyraźnego zakazu, gdyż decyzje takie mogły podjąć jedynie najwyższe władze Rzeczypospolitej, a więc rząd w konsultacji z naczelnym wodzem. Rząd podjął taką decyzję bez konsultacji wtedy, kiedy gen. Sosnkowski wizytował wojska polskie na terenie Włoch.

Z materiałów, jakie przeglądałem — mówi dalej prof. Kowalski — wynika, że gen. Sosnkowski, po załamaniu się operacji „Burza" na terenach wschodniej Polski, był przeciwnikiem nawoływania do powstania. Opowiedział się za kontynuowaniem tej operacji, ale rozumiał ją jako atakowanie cofających się Niemców. W warunkach Warszawy oznaczało to uderzenie na Niemców gdzieś na Wołyń, kiedy ich odejście nie budziło wątpliwości. Wysłał ostrzeżenie do Bora-Komorowskiego, ale zostało ono zatrzymane w Londynie na polecenie prezydenta Raczkiewicza przez ówczesnego szefa sztabu, gen. Kopańskiego, jako sprzeczne z decyzją rządu. Kiedy Powstanie Warszawskie stało się faktem, czynił wiele, aby Anglicy i Amerykanie przyszli mu z pomocą. 1 września 1944 r. w specjalnym rozkazie bardzo ostro skrytykował aliantów zachodnich za nieudzielanie pomocy płonącej Warszawie. Porównał w nim samotną bitwę w Warszawie z samotnością we wrześniu 1939 r. Posłużyło to za pretekst Mikołajczykowi i Anglikom do pozbawienia go stanowiska naczelnego wodza i zesłania do Kanady.

Ostatnie lata

Kolejny zestaw dokumentów, to jego korespondencje z okresu pobytu w Kanadzie. Krytycznie odnosi się w nich m.in. do sposobu dowodzenia II korpusem wojska polskiego przez gen. Andersa. Wynika z nich, że był przeciwnikiem frontalnego natarcia na Monte Cassino. Uważał bowiem, że nie można żołnierzy polskich wysyłać na rzeź, gdy wcześniej załamały się natarcia wojsk alianckich. W jego archiwum znajduje się list, będący odpowiedzią na zamieszczony w paryskiej „Kulturze" artykuł gen. Bora-Komorowskiego, w którym ten ostatni starał się zrzucić z siebie odpowiedzialność za Powstanie Warszawskie. Stwierdzał m.in., że gdyby otrzymał wyraźny zakaz od gen. Sosnkowskiego, to by się powstrzymał z decyzją rozpoczęcia walki. Trzeba jeszcze raz podkreślić w tym miejscu, że gen. Sosnkowski nie mógł wydać ani rozkazu, ani zakazu, bo była to decyzja polityczna, decyzja rządu, który ją podjął poza nim. Wkrótce Bór-Komorowski zmarł; w archiwum po gen. Sosnkowskim znajduje się list żony Bora, w którym przeprasza Sosnkowskiego za ów wywiad i oświadcza, że był on przeinaczony przez odpowiedzialnego redaktora.

Z dokumentów wynika też że gen. Sosnkowski do ostatnich chwil życia pełen był nieufności do krajów Zachodu. Uważał, że wykorzystują małe państwa w sposób niemoralny. Protestował wielokrotnie przeciwko próbom Paryża, Londynu i Waszyngtonu przeprowadzenia rewizji układu poczdamskiego w odniesieniu do granic zachodnich Polski.

Jednocześnie ani przed 1939 ani po 1941 r. nie był w stanie zrozumieć a zatem docenić, roli ZSRR w układzie sił związanych z miejscem Polski w Europie i w układzie sił światowych. Bezwzględnie bronił linii Chrobrego na Zachodzie, ale nie przezwyciężył nigdy tych elementów, które składały koncepcję i idee jagiellońskie.

Archiwum gen. Sosnkowskiego z pewnością pomoże pogłębić wiedzę o najnowszej historii naszego kraju.

Notował: Tadeusz Belerski

Cudzych dzieci uczenie...

Ciąg dalszy ze str. 1

ład, wartości i rzeczy, inspirować przeżycia, budzić radość tworzenia, rozwijać zainteresowania i wyobraźnię. I wreszcie jego praca powinna być — jak mówił wielki wychowawca, Józef Chesław Babicki — przepojona optymizmem wychowawczym promieniującym na wychowanków. Czy więc połączenie codziennych trudności życiowych z ogromem zadań stawianych przed nauczycielami może tworzyć dobrą kondycję w środowisku nauczycieli? Kwestia warunków materialnych jest niewątpliwie ważna, ale nie tylko ona wpływa na samopoczucie nauczycieli. Powinniśmy jako społeczeństwo pomagać szkole i nauczycielom w spełnianiu tak ważnych powinności.

Władze państwowe i oświatowe starają się — na ile pozwala na to sytuacja gospodarcza kraju — aby w sferze materialno-bytowej właściwie wynagrodzić trud i wysiłek nauczycielstwa. Realizacja przepisów płacowych, wynikających z Karty Nauczyciela, jest tego ewidentnym przykładem. Przypomnę, że ustawa nauczycielska określiła zasadę corocznego podnoszenia średniego wynagrodzenia nauczycieli i jego wyrównywania ze średnią płacową kadry inżynieryjno-technicznej. O konsekwentnej realizacji tej zasady świadczy wprowadzenie kolejnej kopekty płacowej od 1 września br. Trudno mi ocenić, w jaki sposób wpłynęła ostatnia podwyżka płac na samopoczucie nauczycieli — sprawa jest zbyt świeża. Myślę jednak, że nauczyciele oczekują nie tylko na podnoszenie wysokości ich wynagrodzenia. Oczekują także na pozytywne przekształcenia w sferze głębszego zainteresowania ich pracą ze strony społeczeństwa i jego instytucji. Tak bowiem, jak każdemu z nas, potrzebne im jest zrozumienie, pomoc, trochę okazywanego ciepła i szacunku.

— Zawód nauczyciela — w ocenie samych nauczycieli — traci na prestiżu społecznym, staje się mało atrakcyjny. I przysłowie — „Bodajbyś cudze dzieci uczył..." nabiera nie tylko wymiaru przenośnego, ale bardzo konkretnego. Czy podziela pan minister ten pogląd?

— Trudno nie zgodzić się z tak postawionym pytaniem, tym bardziej, że opiera się ono na ocenie samych nauczycieli. Nie mogę oceniać w skali ogólnej zagadnienia społecznego prestiżu zawodu nauczyciela. Potrzebne byłyby do tego zakrojone na szeroką skalę badania socjologiczne. Jest natomiast sprawą niewątpliwą, że w związku z całym splotem różnorodnych zjawisk społecznych i kulturowych współczesnego życia, rola szkoły i ranga nauczyciela uległy poważnym zmianom. Szkoła, nauczyciele są nadal szczególnie ważnymi i nieodzownymi ogniwami funkcjonującego w życiu społecznym procesu kształcenia i wychowania, szczególnie ważnymi ogniwami procesów kulturotwórczych, ale nie są to oczywiście ogniwa jedyne. Siła oddziaływania szkoły i nauczyciela na najbliższe i szersze środowisko nie jest dziś tak wielka jak dawniej. O utrzymanie autorytetu trzeba też rywalizować z różnorodnymi partnerami-instytucjami, nie zawsze przyczyniającymi się do wzmacniania autorytetu szkoły i nauczyciela. Błędy i zaniedbania popełnione wobec stanu nauczycielskiego w minionych okresach, często występujące niedostrzeganie, a nawet lekceważenie potrzeb materialno-bytowych i kulturalnych tego środowiska, wywołujące negatywną selekcję wśród kadr nauczycielskich, nie przysłużyły się najlepiej w dziedzinie podnoszenia rangi zawodu nauczyciela i wychowawcy. Dziś jednak nie pora na wyrażanie ubolewania nad społeczną sytuacją tego pięknego zawodu. Obecnie istotny sens może mieć tylko pozytywne i konkretne działanie na rzecz odbudowy autorytetu i prestiżu nauczyciela w szerokich kręgach społecznych. Tak jak obniżenie się prestiżu zawodu miało charakter długotrwałego procesu, tak też długotrwały będzie proces podnoszenia jego rangi i przywracania pozycji stanu nauczycielskiego na należne mu miejsce w odczuciach społecznych. Ważne, może nawet decydujące przedsięwzięcie zostało już dokonane. Jest nim uchwalenie przez Sejm PRL 26 stycznia 1982 r. Karty Nauczyciela. Systematyczne i dokładne wykonywanie zawartych w niej uprawnień zawodowych i socjalnych tworzy korzystną podstawę dla pozytywnych przekształceń w samopoczuciu nauczycieli, a także dla zmian w sposobie traktowania zawodu przez społeczeństwo. Do tych podjętych już przez władze państwowe decyzji legislacyjnych dojść muszą jeszcze co najmniej dwa czynniki: stała dbałość samych nauczycieli o podnoszenie swego autorytetu w środowisku, a także przemyślane oddziaływanie różnych instytucji, w tym również środków masowej komunikacji, na odczucia i świadomość społeczeństwa, stymulowanie rozumienia znaczenia, rangi i trudu zawodu nauczyciela, a także niepodważalność jego kierowniczej funkcji w procesach kształcenia i wychowania.

A czy zawód nauczyciela jest atrakcyjny? Częściowo odpowiedziałem już na to pytanie. Dodam tylko, że moim zdaniem, jeśli mówimy o zmniejszonej atrakcyjności zawodu nauczyciela, to powody tego zjawiska wynikają nie tylko z sygnalizowanych wyżej przyczyn, ale także z jednoznacznego faktu, iż jest to zawód trudny, odpowiedzialny, wymagający specyficznych cech osobowości, pełnego zaangażowania i prawdziwego powołania, na które nie każdego jest stać. Stąd też przysłowie: „Bodajbyś cudze dzieci uczył...", stworzone zresztą nie współcześnie, ale, jak sądzę, już w XIX wieku, rozumiane zawsze jako pasujące do określenia niezwykłego trudu i wysiłku, oddawanego na rzecz innych, a nie jako przekleństwo.

— W powszechnym odczuciu, któremu wyraz dawały niejednokrotnie środki masowej komunikacji, programy szkolne szkolnictwa podstawowego nie są najlepsze, stanowią duże obciążenie psychiczne dla dzieci, absorbują czas rodziców chcących im pomagać w odrabianiu np. zadań matematycznych z teorii zbiorów czy systemu trójkowego. Mówią o tym także sami nauczyciele. Czy resort widzi potrzebę jakichś korekt i zbliżenia programów do życia?

— Przypomnijmy kilka ważnych faktów. Reforma programowa od 1 września br. objęła klasę ósmą. Zbliżamy się zatem powoli do pełnego cyklu zreformowanej szkoły podstawowej, by od 1986 roku przekroczyć próg szkoły ponadpodstawowej. Zgodnie z decyzją Sejmu zmiany programowo-organizacyjne kształcenia i wychowania nie naruszają dotychczas sprawdzonych struktur oświatowych. Odbywają się one w ramach ustrojowych, określonych ustawą o rozwoju systemu oświaty i wychowania z 15 lipca 1961 r. Treści i zasięg dokonywanych zmian są jednak istotne. Są tak istotne, że można je uznać za reformę programową kształcenia i wychowania w całym systemie edukacyjnym.

Nowe programy szkoły podstawowej są przedmiotem nieustannej dyskusji. Cieszymy się z tego, fakt ten świadczy bowiem o głębokim i stałym zainteresowaniu społecznym sprawami szkoły i przyszłością pokolenia młodych. Spory i dyskusje skupiły się nade wszystko wokół programu matematyki w szkole podstawowej. Jeśli mówimy o udziale środków masowej komunikacji w przekazywaniu odczuć społecznych w tej sprawie, to warto przypomnieć, że lawina listów publikowanych w „Polityce" na temat nauczania „nowej matematyki" wskazuje, iż występują obok siebie głosy zdecydowanego potępienia przekształceń programowych i głosy pełnego poparcia dla nowych rozwiązań. Chcę tu wyjaśnić, że matematyka, którą wdrażamy w naszym kraju w nauczaniu początkowym i w klasach starszych, została zaproponowana przez komisję oświatową UNESCO i jest realizowana nie tylko w Europie, ale także w wielu krajach pozaeuropejskich. Znaczne trudności, związane z realizacją tego programu, były powodem już trzykrotnych jego korekt, prowadzących do eliminowania z programu pewnych części materiału przekraczającego możliwości poznawcze dzieci i przeniesienia tych elementów do klas starszych lub na zajęcia typu fakultatywnego.

— I bardzo dobrze. Czy znaczy to, iż matematyka przestanie straszyć?

— Spośród różnych przyczyn trudności związanych z realizacją programu matematyki warto wymienić tę, która dość rzadko jest zauważana i podkreślana: niewystarczające przygotowanie kadr w nauczaniu początkowym. Gdyby „nowej matematyki" uczyli tylko wysoko wykwalifikowani nauczyciele, mający dogłębnie metodykę nauczania tego przedmiotu, mający psychologię wieku dziecięcego, umiejący prawidłowo dostosowywać treści, metody i formy organizacyjne procesu nauczania do możliwości poznawczych uczniów, wówczas mielibyśmy o wiele mniej problemów, dyskusji, sporów, a więcej korzystnych efektów i zadowolenia. Jak bowiem twierdzą ci spośród nauczycieli, którzy są właściwie przygotowani do realizacji przedmiotu, młodzież nawet średnio zdolna jest w stanie opanować zasygnalizowaną w pytaniu teorię zbiorów, system trójkowy i inne zagadnienia programowe. Stąd bierze się nasz kilkuletni, ogromny wysiłek na rzecz właściwego przygotowania rzeczowego i metodycznego nauczycieli nauczania początkowego, podejmowany w podległych resortowi instytucjach kształcenia i doskonalenia nauczycieli. Konieczne jest również w tej dziedzinie unowocześnienie dydaktyki nauczania matematyki w wyższych uczelniach przygotowujących nauczycieli.

Inne programy nie budzą tak gorących dyskusji. A czy będziemy je „zbliżać do życia"? Moim zdaniem, ich treści są właśnie dlatego takie, iż wynikają z wymagań narzuconych przez szeroko pojęte życie społeczne.

— Nauczyciele narzekają, że program pracy szkoły reguluje ogromna liczba zaleceń o charakterze nakazowym, obligujących, np. do pogadanek, apeli, konkursów, których wartość merytoryczna jest umiarkowana...

— Odeszliśmy od tych zaleceń typu nakazowego w realizacji zadań wychowawczych szkoły. Program działalności wychowawczej szkoły kształtują generalne założenia, właściwe dla pracy całego systemu oświaty i wychowania. Sposób realizacji tych założeń, i założeń właściwych dla środowiska lokalnego, jest uzależniony od inwencji rad pedagogicznych i współdziałających ze szkołą organizacji społecznych, politycznych i innych. Wielokrotnie zwracaliśmy już uwagę nie na liczbę pogadanek, konkursów, apeli itp., lecz na ich wartość merytoryczną i ideową. W żadnym wypadku stosowane formy organizacyjne imprez szkolnych nie mogą naruszać realizacji organicznych funkcji szkoły. Jeśli nauczyciele narzekają na nadmiar imprez o wątpliwej wartości, to powinni przede wszystkim zrewidować przyjęty w danej szkole sposób planowania działalności dydaktycznej i wychowawczej. Udział szkoły w określonym konkursie, czy też realizacja przez nią danej imprezy należy — zgodnie z regulaminem pracy rady pedagogicznej — do jej kompetencji.

— Jak ocenia pan minister sytuację kadrową szkolnictwa? Wiele mówiło się, w trudnym okresie 1980—81, o nastrojach opozycyjnych w tym środowisku? Czy należy to do przeszłości?

— Zapewnienie szkołom i innym placówkom oświatowo-wychowawczym kwalifikowanej kadry pedagogicznej jest nadal sprawą trudną, należącą do grupy najważniejszych zadań administracji oświatowej wszystkich szczebli. Jeśli za punkt odniesienia przyjmiemy sytuację kadrową szkolnictwa w minionym roku 1983/84, to odnotować należy w rozpoczętym roku szkolnym pewną poprawę w tej dziedzinie. W skali całego systemu oświatowego jest ona niezbyt jeszcze odczuwana. W okresie poprzedzającym rozpoczęcie obecnego roku szkolnego, w szkołach i innych placówkach oświatowo-wychowawczych w całym kraju zatrudniono 7409 absolwentów szkół wyższych, 7023 absolwentów studiów wychowania przedszkolnego i nauczania początkowego oraz 410 absolwentów pedagogicznych studiów technicznych. Z łącznej liczby 14 842 nowo zatrudnionych absolwentów 6012 rozpoczęło pracę na wsi.

Mimo rozpoczęcia roku szkolnego zatrudnienie absolwentów szkół wyższych nie jest sprawą zamkniętą. Znaczna część studentów otrzyma dyplomy we wrześniu lub październiku i na nich również czekają wolne miejsca pracy w placówkach oświatowych.

Szczególnie mocno chciałbym podkreślić jeden fakt. O ile rok szkolny 1983/84 rozpoczęliśmy z niepokojącym stanem 36 000 nauczycieli niekwalifikowanych — to w bieżącym roku liczba ta wynosi już tylko 21 000. W tej dziedzinie czynimy i czynić będziemy wszystko, aby w najbliższych latach wymazać z terminologii oświatowej pojęcie „nauczyciel niekwalifikowany". Obniżenie liczby niekwalifikowanych pracowników oświaty o ponad 41 proc. można traktować jako osiągnięcie, jeśli weźmiemy pod uwagę, iż potrzeby kadrowe są w zasadniczy sposób uwarunkowane dwoma czynnikami: znacznym wzrostem liczby oddziałów, wynikającym z postępującego wyżu demograficznego, oraz dużym ubytkiem kadry nauczającej w związku z przejściem na wcześniejszą emeryturę i wzrastającą liczbą urlopów wychowawczych. Warto zaznaczyć, że spośród 31 886 nauczycieli uprawnionych do emerytury — skorzystało z tej możliwości 14 217 osób. Z tej liczby blisko 12,5 tys. tegorocznych emerytów podjęło pracę w szkołach w niepełnym wymiarze godzin — w tej liczbie 9,5 tys. osób na półetatu. Nie jest to bez znaczenia w trudnej sytuacji kadrowej oświaty.

Na sprawę zaspokojenia potrzeb kadrowych w szkołach, szczególnie na terenie wsi i małych miast, decydujący wpływ ma zapewnienie nauczycielom dobrych mieszkań, tj. samodzielnych i o odpowiednim standardzie. Brak takich mieszkań jest barierą, stwarzającą trudności w pozyskiwaniu dla szkolnictwa wiejskiego absolwentów szkół wyższych.

Sformułowanie zawarte w drugiej części pytania, sygnalizujące, jakoby w latach 1980—81 istniały opozycyjne nastroje w środowisku nauczycieli — przyznam, nieco mnie zaskakuje. Mam w tej sprawie zupełnie odmienne zdanie. Retrospektywne spojrzenie na ostatnie trudne lata w życiu naszego państwa i społeczeństwa pozwala jednoznacznie stwierdzić, że wydarzenia i napięcia, tak charakterystyczne dla tego okresu, przebiegały w środowisku oświatowym z o wiele mniejszym natężeniem i ostrością niż w innych sferach życia społecznego. Wynikało to m.in. z głęboko zakorzenionego poczucia ideowo-moralnej odpowiedzialności nauczycieli za stan świadomości młodzieży i jej bezpieczeństwo, z silnej więzi stanu nauczycielskiego z państwem i władzą ludową, z ukształtowanego przez lata pracy pedagogiczno-społecznej szacunku i poświęcenia dla generalnych wartości, celów i zadań ogólnonarodowych. Należy przypomnieć, że jedynym pożałowania godnym wydarzeniem, jakie miało miejsce w tym środowisku, był strajk lubelski, który stanowił jednak zjawisko odosobnione, choć tragiczne w swej społeczno-pedagogicznej i moralnej wymowie.

— Zgodzi się pan jednak, że środowisko nie wyszło z tego trudnego okresu silne, zwarte, skonsolidowane?

— W środowisku oświatowym bardzo szybko następował i następuje proces stabilizacji, wyraźnie obserwowany w wielu dziedzinach życia i działalności szkoły. Zewnętrznym przejawem tego procesu był systematycznie malejący udział młodzieży szkolnej i nauczycieli w różnych formach działalności niezgodnej z prawem. Stąd dzisiejsza ocena może być pozytywna. Nowy rok szkolny rozpoczął się w lepszej atmosferze niż poprzedni i w nieporównywalnie lepszej aniżeli dwa lata temu. W naszym środowisku nauczycielskim zdaje się panować przekonanie, że szkole polskiej potrzebny jest społeczny spokój i jedność ideowa, niezbędne dla swobodnego rozwoju dzieci i młodzieży.

Istotne składniki stabilizacji i dobrej atmosfery są wyraźnie widoczne. Szkolnictwo w całym kraju realizuje swoje podstawowe zadanie w sposób harmonijny. Wyniki nauczania są lepsze aniżeli w ostatnich dwu latach. Kompleksowy program wychowawczy „Główne kierunki i zadania w pracy wychowawczej szkół" został przez nauczycieli zaakceptowany powszechnie i z nielicznymi wyjątkami znalazł wyraźne odbicie w pracy szkół, przyczyniając się do integracji rad pedagogicznych wokół zadań dydaktyczno-wychowawczych. Nastąpił znaczny rozwój różnych form pracy z młodzieżą — kół zainteresowań, zespołów kulturalnych, sportowych, turystyczno-krajoznawczych. Nauczyciele z reguły zajmują postawy racjonalne, prawidłowe pod względem politycznym i ideowym, coraz częściej — zaangażowane. Uwidacznia się to w zacieraniu się w radach pedagogicznych dawnych podziałów pod względem poglądów i postaw. Wydaje się, że są to wystarczające argumenty, by stwierdzić, że napięcia i niepokoje lat ubiegłych należą do przeszłości.

— Czego zatem chciałby pan minister życzyć wielotysięcznej rzeszy nauczycieli z okazji ich święta, które niedawno obchodziliśmy?

— Życzę wszystkim Koleżankom i Kolegom, aby ich pracy towarzyszyła atmosfera zrozumienia, zainteresowania i życzliwości ze strony społeczeństwa. Jak sądzę, jest to niezbędne dla stymulowania ich aktywności zawodowej i społecznej, jest to niezbędne dla wzorowego wykonywania pedagogicznych powinności. Życzę Nauczycielom i młodzieży satysfakcji z dobrze spełnionego obowiązku, dobrego zdrowia, sił i samopoczucia.

— A my dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiał: Waldemar Piasecki

Z bocznej loży

Nieporozumienie z Mrożkiem

„ROMANTYCZNY szyderca", „parodysta", „prześmiewca", „Mrożek [...] a sprawa polska", „Mrożek a problemy demokracji" — nie bez powodu przywołuję tu niektóre tylko, przypadkowo wybrane, terminy, interpretacyjne klucze, jakie pojawiły się w licznych komentarzach krytycznych, którymi w ciągu dwudziestu lat obrosło „Tango" (przypomnę pierwodruk — „Dialog" 1964, nr 11). Warto je mieć w pamięci, kiedy ogląda się „Tango" na scenie lubelskiego teatru, bowiem z tego przedstawienia, którym teatr rozpoczął nowy sezon w czterdziestoleciu swojego istnienia, nie można, niestety, dowiedzieć się, kim jest Mrożek, ani czym jest właściwie „Tango" i co oznacza ten tekst opatrzony datą: premiera dnia 14 września 1984. Z materiałów zamieszczonych w programie teatralnym (szkoda tylko, że tak nielicznych) można bez trudu wyprowadzić przypuszczenie, że chciano z „Tanga" wysnuć Chochoła, zapoczątkować jakiś ciąg rozważań, których następnym ogniwem będzie zapowiadane na listopad „Wesele". Przed wielu laty, gdzieś u progu lat sześćdziesiątych, Jan Kott pisał, że niby zawsze wiadomo, czego chciał reżyser, scenograf, ale na scenie ogląda się najczęściej to, „czego nikt nie chciał, a właśnie wyszło".

„Tango" ma wieloznaczność metafory, stąd od początku budziło skojarzenia z „Weselem", z Witkacym, skojarzenia skądinąd słuszne, ale — co zauważył Jerzy Koenig — stanowiące także swoiste pułapki interpretacyjne. „Mrożek nadał „Tangu" maskę dramatu rodzinnego mistrzowsko... jest to jednak maska tylko" — pisał Jan Błoński. Stąd bardzo łatwo grać „Tango" jako komedię obyczajową (chociaż wcale taka komedia nie jest) nawet w poetyce teatru Bałuckiego czy Perzyńskiego, tylko że wówczas przestaje być tragigroteska, rozprawa z mitami o bohaterstwie urojonych bohaterów, rejestrem grzechów literatury i sztuki współczesnej przestaje być także ironicznym pogłosem „Ślubu" i „Kurki wodnej" — jak chce Błoński — przestaje być opowieścią o dziejach wolności, i „sztuka o wierze, o miłości, o czynie i o zbawieniu świata". A wystarczy tylko uważnie przeczytać tekst dramatu, by uniknąć takich drastycznych pomyłek.

Nie najlepiej może się stało, że wybitni krytycy (K. Puzyna, M. Fik) propagowali niegdyś „pisanie na scenie" i „reżyserskie pomysły", być może dzięki temu reżyserzy uwierzyli, że zamiast czytać nudne teksty dramatyczne lepiej powymyślać jakieś głośne i barwne, ale niestety puste fajerwerki i „efekty" sceniczne, którymi można pokryć brak serio postawionych spraw o nas samych i brak logiki. Chciałoby się w tym przedstawieniu odnaleźć właśnie jakąś logiczną zasadę, która rządzi tu światem scenicznym, zwłaszcza istnieniem postaci, ich wzajemnymi związkami, które „w teatrze Mrożka stają się niemal absolutem". Niezwykle trafnie zauważył Miłosz w „Prywatnych obowiązkach", że „Gombrowicz, czy Mrożek [...] są to autorzy hierarchizujący, arystokratyczni przez swoje przywiązanie do rozróżnień".

Mrożek wyraźnie rozróżnia w „Tangu" typy ludzkie, postacie układają się w pewne opozycje: intelekt — ciało, cywilizacja — barbarzyństwo, wysiłek — lawizna, ale wyróżnia także trzy pokolenia i dość wyraźnie określa przedziały wiekowe, zaznaczając to w sposób nader czytelny, młodzi noszą imiona na A, starsi na E, wyjątek stanowi Stomil, ale tą „eksperymentator". Szkoda, że reżyser nie zwrócił na to uwagi. Wszystkie postacie w tym przedstawieniu są niemal „jednakowe", usunięto wszelkie przedziały i rozróżnienia wiekowe. Edek jest w wieku Artura, nie widać też różnic wiekowych między Stomilem i wujem Eugeniuszem. Ala także już wcale niemłoda („trudności obsadowe" — tak, tylko że to niczego nie wyjaśnia w sprawie Mrożka). Tu właśnie zaczyna się ów splot nielogiczności i sprzeczności. Aktorzy tak nietrafnie obsadzeni nie bardzo też wiedzą, co mają grać. Próbują zatem bawić się tekstem Mrożka, niby dowcipnie, niby nie na serio. I tu od razu trzeba chyba powiedzieć, że tekst groteskowy, „robiony" przez teatr „z przytupywaniem", dowcipami stylizacyjnymi i puszczaniem oka do widowni, przestaje być mądry.

Henryk Sobiechart, aktor już dojrzały, obsadzony w roli 25-letniego Artura próbuje grać najpierw „niedojrzałość", uśmiecha się niewinnie, od razu daje znaki, że to tylko zabawa, że wcale nie jest romantycznym idealistą, lecz tylko harcerzem, który chce zbawić świat. Zostaje przez Stomila i Eleonorę wsadzony do dziecięcego wózka i z tego miejsca przedstawia swoje plany „przywracania konwencji". I tu nawet można by się dopatrzeć gombrowiczowskiej idei „niedojrzałości", odnaleźć jeszcze coś z Mrożka i z Witkacego. Rzecz wydaje się mieć przynajmniej pozory jakiejś dyskusji o sztuce; na ścianach stroświeckiego salonu obrazy, pośrodku wielki obraz, który łatwo skojarzyć z Salwadorem Dali — Gioconda z wąsami, stary żelazny piecyk, pod sufitem zawieszone krzesła, jakieś fragmenty różnych scenografii — „cytaty" z przedstawień teatralnych, można by odnaleźć echa poetyki Grzegorzewskiego albo Kajzara. W tym wszystkim Artur grający owo nieudolne dojrzewanie i infantylizm dorosłego mężczyzny. Ale to tylko w I akcie, potem Artur przestaje grać niedojrzałość, nie proponując nic w zamian, ani buntu, ani „młodości", w której objawiłaby się „przyszłość jednostki i społeczeństwa", nie umie także być „młodym gniewnym", który tworzy mity samotności intelektualisty we współczesnym świecie. Przyłącza do pomysłu pozostałych aktorów, by grać tradycyjne układy komedii obyczajowej: żona, zdradzony mąż, kochanek, dzieci pokłócone z rodzicami, babcia, która tylko kostiumem zaznacza, że ma być „podfruwajką", cała wykładnia idei młodości traci wówczas sens.

Kłopot straszny z tą młodością! Ujawnia się również przy okazji postaci Ali. Ala — Mrożek pisze w didaskaliach — „dorodna, osiemnastoletnia, długie proste włosy", a na scenie pojawia się w pełni dojrzała kobieta, ogrywająca temat: „nowoczesna, nastoletnia panienka" (fryzura punk, modne fatałaszki) — samym wyglądem nadaje postaci wszelkie cechy wulgarności, choć korzystniej przeprzecież by było podjąć zaproponowane w dramacie zaznaczenie kontrastu pomiędzy wyglądem a sposobem zachowań, językiem. Aktorka (Hanna Pater) nie potrafi do końca określić się w tej roli i na przemian pokazuje albo dojrzałą, brutalną kobietę, albo dziadzibudkę. Tylko Piotr Wysocki jako wuj Eugeniusz stara się utrzymać jednorodność gatunkową swojej postaci, w krótkich spodenkach, po gombrowiczowsku „upupiony", ochoczy i absolutnie na wszystko podatny.

Owe nielogiczności w układzie postaci i wynikające z tego sytuacje ujął reżyser w swoistą „klamrę kompozycyjną" — muzyczną. Tango słychać przy każdym podnoszeniu kurtyny na początku kolejnych aktów, a nie tylko w finale, jak proponuje Mrożek. „La Cumparsita" — jedna z najbardziej prymitywnych kompozycji swego gatunku, jak określił to Bogusław Schaeffer — miesza się gdzieś na poziomie notatnika w którym Edek zapisuje swoje „zasady moralne" („ja się kocham a ty śpisz" itp.) głównie przez swój „rypany" rytm. Ciągła obecność tego tanga sprawia że przedstawienie jest od początku jakby „Edkiem podszyte". Edek (Waldemar Szarzyński) nie jest ani cyniczny, ani cwany, raczej niezdarny, gruby, ale bezczelny i prymitywny tak by nie można mieć wątpliwości, że Edek to „sama natura". Mimo tego w całości spektaklu jest raczej cichy, niewiele go widać, przemyka gdzieś bokiem i dopiero w finale, gdy zabije Artura, Edek zostanie „królem", stanie się nawet po trosze podobny do witkacowskiego Czębona Purzymordy, płomiennego geniusza, wodza o wielu twarzach, narodowego parakleta i rusza w tango z wujem Eugeniuszem, najpierw na scenie, potem pośród widowni.

Ten staromodny taniec odbywa się w dyskotekowej oprawie. W staroświeckim salonie zapalają się kolorowe światła, uliczne reklamy: „Pewex", „Toto-Lotek twoim szczęściem", „Pralki", „Loteria". Już przy okazji realizacji „Kartoteki" Marek Gliński ujawni fascynację przejawami kultury masowej, ulicznego rozgwaru, wprowadzając uliczne światła, reklamy, hałas, ale u Różewicza dość jasno się to tłumaczy, po prostu „przez pokój Bohatera przechodzi ulica". Mrożek przeciwnie, nie sugeruje, by cokolwiek miało „przechodzić" przez salon, w którym dzieje się akcja „Tanga", oprócz postaci dramatu, oczywiście. Skoro reżyser zaproponował oglądanie postaci bardziej podobnych do bohaterów Zapolskiej niż Mrożka, ten „ozdobnik" w finale przedstawienia wydaje się zupełnie nie na miejscu. Chyba, że miałaby to być ilustracja do postaci Edka, który właśnie nakazał „posłuch", ale „i zabawić się lubi". To dla Edka musi być jaskrawo, ostro, żeby było czytelnie. Ale przecież Edek to zbiorowa świadomość, to „kolektywna mądrość", a my wszyscy jesteśmy po trosze z Edka, czyż trzeba to objaśniać?

Kultura nasza jest podszyta Edkiem — pisała Marta Piwińska — to przy pomocy Edka można zwalczać ów świat romantycznych idealistów, duchów, upiorów, Hamletów. Tylko, że w tym przedstawieniu Edek nie bardzo ma kogo zwalczać, zabrakło poprawnie zinterpretowanej i należycie zagranej roli Artura — „romantycznego bohatera", „idealisty", „Winkelrieda". Jeśli nie ma Artura, to jakoś i Mrożka trudno odnaleźć — Artur to „wewnętrzna biografia" Mrożka. Niemożliwe stało się również zaistnienie istotnej u Mrożka opozycji: mędrek — prostak, czyli tego wciąż znaczącego w naszej kulturze mitu Kordiana i chama.

Lidia Wójcik

Sławomir Mrożek — „Tango". Reż. — Marek Gliński. Scen. — Liliana Jankowska. Układ tańca — Rajmund Sobiesiak. Premiera — 14 IX 1984.

Okolice sztuki

POWROTY

KOLEJNE, IX Międzynarodowe Biennale Plakatu w Warszawie nie odbyło się w regulaminowym roku 1982, albowiem nie zmieściło się w kalendarzu wydarzeń daleko ważniejszych niż artystyczne. Pewną liczbę prac, jakie napłynęły przecież na wcześniej ogłoszoną imprezę, zmagazynowano z nadzieją na spokojniejsze czasy, które umożliwią urządzenie wystawy o poziomie proporcjonalnym do świetnej tradycji Biennale, zainicjowanej w 1966 roku. Niewiele jednak osób lokowało ów moment w zasięgu normalnej, ludzkiej cierpliwości, czemu zresztą trudno się dziwić. Wpływowe kręgi polskiego środowiska plastycznego podjęły bojkot imprez i instytucji „reżimowych", karcąc moralnie, a czasami nawet i fizycznie (opluwanie na ulicy) tych swoich niedawnych kolegów z ZPAP, którzy ośmielili się wystawiać prace w miejscach do tego przeznaczonych i zupełnie nie przypominających katakumb. Chorobliwy furor napastników zdawał się unieważniać prostą prawdę, że życie i rozwój sztuki związane są bez reszty z jej obecnością, a w podziemiach można hodować co najwyżej pieczarki.

No i nastał 15 września 1984 roku, dzień otwarcia (IX) X Międzynarodowego Biennale Plakatu. Obszerny hall „Zachęty" wręcz trzeszczał pod naporem publiczności, a mury gmachu nie rozpadły się tylko dlatego, że z drugiej strony, od placu Małachowskiego, napierało nań bodaj 500 osób, pragnących dostać się do wnętrza, gdzie „reżimowy" minister kultury i sztuki wygłaszał przemówienie — „z głowy" i z głową — występując w towarzystwie wiceministra spraw zagranicznych. Nie ma dowodów na to, że publiczność 15 września dowieziono pod „Zachętę" ciężarówkami w kolorze ciemnozielonym.

Nie uruchomiono też specjalnych środków, by zwabić do udziału w Biennale artystów z różnych krajów świata. Po prostu wysłano regulamin imprezy i zaproszenia, otrzymując w rezultacie dowód, że rzecz znów cieszy się międzynarodowym prestiżem. Komisja kwalifikacyjna pod przewodnictwem Waldemara Świerzego odbyła aż osiem posiedzeń, by przejrzeć 3 519 plakatów, nadesłanych przez 1081 autorów z 41 państw. O czym świadczą te liczby, nie trzeba chyba wyjaśniać.

Po selekcji, na wystawę przyjęto 889 plakatów 491 artystów z 39 krajów. Ciekawsza wszakże jest inna statystyka, obrazująca zainteresowanie imprezą ze strony grafików poszczególnych krajów. Tak więc chęć uczestnictwa w Biennale zgłosiło 161 autorów z Polski (zakwalifikowano 76), 84 z Republiki Federalnej Niemiec (40), 83 z Bułgarii (24), 82 ze Stanów Zjednoczonych (46), 78 z Japonii (60), 69 z ZSRR (33), 67 z Niemieckiej Republiki Demokratycznej (25), 48 z Francji (24), 47 z Jugosławii (23), 47 z Włoch (18), 34 z Finlandii (19), 30 z Czechosłowacji (17), 30 z Wietnamu (7), 25 z Kuby (9), 22 z Węgier (5), 21 ze Szwajcarii (15)...

Te liczby informują, że warszawskie Biennale ciągle pozostaje w centrum zainteresowania krajów, które od lat przodują w sztuce plakatu (Japonia, Polska, USA, Finlandia, w mniejszym stopniu Francja), lub niedawno ulokowały się w ścisłej czołówce tej twórczości (RFN). Informują także, że artyści niektórych państw zachodnich posiadają większe poczucie realizmu niż tamtejsi politycy i bliskie jest im rozumienie kultury jako może ostatniej dziś płaszczyzny „zgody narodów". Udział licznej grupy grafików polskich w Biennale obejdzie się bez komentarza, aczkolwiek przy okazji chciałoby się wspomnieć o sprawie pozornie tylko odbiegającej od tematu, a mianowicie o tym, że w 100 (!) tegorocznych plenerach, urządzonych na koszt instytucji państwowych, uczestniczyło minimum 2000 naszych plastyków.

Plakaty pokazane w „Zachęcie": są efektowne, zwyczajnie piękne, znakomite pod względem warsztatowym, częściej eksploatujące środki właściwe dla malarstwa i grafiki, niż dla fotografii, która, bwszem, nierzadko pojawia się w drukach, ale w formie o zatartej tożsamości gatunkowej, jako element rozleglejszych struktur plastycznych.

Biennale na pewno stanowi reprezentatywny przegląd aktualnej sytuacji w światowej sztuce plakatu, a może nawet określa stan sztuki w ogóle. Rzecz w tym, że prace pokazane w „Zachęcie" nie układają się w jakieś widoczne tedencje formalne czy szkoły narodowe. Nawet Japończycy, tak niegdyś wyróżniający się grafologią i duchem swoich plakatów, zdają się ulegać powszechniejszym skłonnościom do umiędzynarodowienia języka graficznego. Nagrodzone jednym z trzech złotych medali prace Makoto Saito, reklamujące konfekcję firmy „Garo", identyfikowane są narodowo tylko znakami pisma japońskiego, które zresztą nie zawsze występują w realizacjach tego autora. Jeszcze bardziej uniwersalny charakter posiadają antywojenne plakaty Hirokatsu Hijikata, eksploatujące znane motywy: gołębia pokoju, grzyba atomowego, bomby i stylizowanej trupiej czaszki. Jeden z nich wykazuje pewne podobieństwo ze słynnym dziełem... Tadeusza Trepkowskiego „Nie!" z lat pięćdziesiątych.

Internacjonalizacji języka plakatu nie należy wszak mylić z ujednoliceniem, czy schematyzacją form graficznej wypowiedzi. Owszem w „Zachęcie" spotykało się afisze jakby z jednej sztancy, ale do odosobnionych przypadków zaliczyć należy takie pokrewieństwo, jakie ujawnili Szwed i grafik z NRD, którzy — zapewne bez uprzedniego porozumienia się — wypełnili reklamowane bluzki damskie soczystymi biustami...

O sukcesie autorskim decyduje obecnie sprawność warsztatowa i inwencja w montowaniu indywidualnych całości semantyczno-plastycznych z powszechnie stosowanych części. Nie ma dziś szkół i tendencji, są natomiast konkretni artyści, którzy korzystając z wypracowanych dotąd poetyk twórczości plakatowej, potrafią przemawiać wystarczająco sugestywnie, by zwrócić naszą uwagę. Na tej właśnie zasadzie zbudowano najlepsze plakaty Biennale — o tematyce kulturalnej (złoty medal dla Wiktora Sadowskiego z Polski) stanowiące coś w rodzaju metasztuki, b traktujące z reguły o sprawach teatru, filmu, plastyki, muzyki.

Czy z podobnym zjawiskiem nie spotykamy się dziś w obszarze całej sztuki?

Obsadzone przez artystów znanych w świecie, atrakcyjne dla publiczności, instruktywne dla specjalistów, sprawnie zorganizowane w niełatwych przecież warunkach — warszawskie Biennale Plakatu okazuje się sukcesem o znaczeniu daleko przekraczającym teren sztuki.

IJK

czas. 2552/1984/22

Ten rozkoszny ODDZIAŁ

Fot. Andrzej Tyszko

NAZWA Oddział Zamknięty jest dla tysięcy nastolatków, spragnionych mocnych wrażeń, synonimem dynamicznej, niepokiełznanej muzyki i wspaniałej zabawy. Widać to na rozhuśtanych koncertach i w listach fanów, kierowanych do redakcji. Hasło Oddział Zamknięty wywołuje wśród młodzieży wielkie emocje.

— Jak reagujecie na popularność — pytam lidera grupy, wokalistę, kompozytora i zarazem autora tekstów wszystkich piosenek Krzysztofa Jaryczewskiego.

— Podchodzimy do niej dwojako. Z jednej strony bardzo nam imponuje powodzenie. Sami jesteśmy młodzi i wiemy, co znaczy mieć swego idola. Cieszymy się, że śpiewając dla własnej przyjemności, możemy sprawiać satysfakcję innym. Staramy się mówić o sprawach bliskich młodemu pokoleniu, jego radościach i zwątpieniach. Z drugiej strony popularność bywa na dłuższą metę nużąca, utrudniająca codzienne życie. Nieraz wbrew sobie musieliśmy podpisywać zdjęcia i plakaty, choć czuliśmy się skonani i każdy najchętniej wylądowałby w łóżku. Obecność na szczycie piramidy, podsycana jeszcze przez środki masowego przekazu, nakłada na nas dodatkowe obciążenia. Z niektórymi trudno się pogodzić. Dla przykładu nie możemy po skończonym koncercie zachowywać się tak setki naszych rówieśników, bo w oczach tłumu fanów jesteśmy dziećmi szczęścia. Jeśli nam powiodło się w życiu, to powinniśmy z godnością grać narzuconą nam rolę gwiazdorów. Otaczani pochwałami i potępieniami, sami nie bardzo wiemy, komu wierzyć. Popadamy więc w konflikty z własnym „ja". Bezwiednie nawarstwiają się konflikty i trudne do objęcia problemy. Siła rzeczy to, co miało dawać nam satysfakcję, czyni z nas niewolników osiągniętego rozgłosu. Chcielibyśmy nieraz zabawić się jak wielu ludzi w naszym wieku, a tu wlacza się hamulec psychiczny, że taka lub inna forma spędzania wolnego czasu może być źle przyjęta. Zbyt wielu ludzi przygląda nam się. Potem piszą, że Oddział robi ekscesy.

— Jak często macie wolny czas dla siebie?

— Niezmiernie rzadko. Prawdę mówiąc, czas wolny dla zespołu, który dotarł do czołówki, praktycznie nie istnieje. Jeśli nawet nie koncertujemy to robimy próby, nagrywamy w studiu, występujemy w telewizji, pozujemy do zdjęć, udzielamy wywiadów lub załatwiamy tysiące innych spraw. O normalnym życiu osobistym nie może być mowy. Po każdej dłuższej trasie koncertowej obiecujemy sobie przymusową kwarantannę i nic z tego nie wychodzi. Estrada jest jak małżeństwo, z którego trudno się urwać.

— Czy jesteś z siebie zadowolony?

— Nie zdarzyło mi się dotąd. Czasem coś może sprawić mi drobna przyjemność, ale do zadowolenia, o jakim marzę, ciągle daleko.

— Powiedz zatem, co sprawia ci przyjemność?

— Pewnie nie uwierzysz, ale kwiaty od nastolatek. Naprawdę bardzo lubię je otrzymywać po koncercie. Wbrew temu, co o mnie myślą i mówią, nie słucham list przebojów i jest mi zupełnie obojętne, czy moja piosenka zajmuje tam pierwszą, czy też dwudziestą pierwszą pozycję. Natomiast liczy się dla mnie reakcja publiczności na muzykę. Zawsze uważnie obserwuję z estrady, ile osób przychodzi na koncert i jak reagują na nasz występ. Wielokrotnie dziwię się dużej frekwencji mimo iż reklama była uboga, bądź też w ogóle jej nie było.

— Wielu krytyków chętnie przypina wam łatkę epigonów rocka, szydząc przy okazji z naiwności tekstów piosenek, dziecinnego słownictwa, uproszczonej metaforyki, w stylu spróchniałych mózgów. Jak odbierasz złośliwe niejednokrotnie ataki?

— Najpierw spoglądam, kto się pod tym podpisał. Przekonałem się bowiem, że wielu publicystów chłoszcze nas z czystej przekory lub chęci przypodobania się innym. Wylewa się więc kadzie żółci zupełnie bez powodu. Jeśli stwierdzę, że autorem jest osoba, która skompromitowała się już w przeszłości, w ogóle nie czytam artykułu. Krytyka muzyczna pasie się u nas zbyt wielu dyletantów, rządnych rozgłosu za wszelką cenę, nawet kosztem oplucia kogoś. Nie usiłują zgłębiać tekstów moich piosenek i wszystko wydaje im się banalnie płaskie, choć wcale tak nie jest. Młodzi fani reagują na moje piosenki zupełnie inaczej. Są zadowoleni, że teksty przemawiają ich językiem, bez niepotrzebnego szpanu i napuszonej dydaktyki. Piosenki Oddziału mówią o obsesjach nastolatków, o psychicznym osamotnieniu, o panienkach nie znających imion swoich kochanków, o złudnej pogoni za szmalem, która w ostatecznym rachunku przynosi bolesne rozczarowania. Na przekór temu, co wypisują złośliwi krytycy, tworzone przeze mnie teksty odbierane są bardzo dobrze przez nastolatków. Oni się z nimi identyfikują, odbierają jak własne.

— Wiele razy słyszałem o waszym kompleksie Rolling Stonesów.

— Nie wiem, skąd biorą się takie stwierdzenia. Ja, ani moi koledzy nie dostrzegamy żadnego podobieństwa w warstwie muzycznej. Chyba, że będziemy porównywać moje skoczne tańce podczas występu z szalonymi popisami Micka Jaggera. On jest zawodowym showmanem, programującym każdy ruch, a moje zachowanie podyktowane jest wewnętrzną potrzebą. Nie gram na żadnym instrumencie i energię wyładowuję w ruchu, tańcu. Nie potrafiłbym ustać spokojnie przez 90 minut przy tak dynamicznej muzyce. Te stałe analogie z Rolling Stonesami mocno mnie denerwują. Wychowałem się na muzyce funky, której słuchał starszy brat. Nagrania Cream, Mayalla i Rolling Stonesów poznałem wiele lat później, kiedy miałem już ukształtowane zainteresowania muzyczne. Nigdy nie próbowałem naśladować świetnej skądinąd kapeli Micka Jaggera.

— Ponoć Oddział dotknęły poważne zmiany personalne.

— Jeśli masz na myśli dokooptowanie basisty Marcina Ciempiela i gitarzysty Krzysztofa Zawadki, to istotnie odnotowaliśmy zmiany. Obaj grali kiedyś w amatorskiej grupie XXCS i obaj wnieśli do zespołu powiew młodzieńczej spontaniczności. Bardzo była nam ona potrzebna dla utrzymania odpowiedniego klimatu występów. Wydaje mi się, że Oddział skorzystał na tej zamianie. Wszyscy jesteśmy bardzo młodzi i pobyt na estradzie traktujemy jak poważną lekcję życia.

— Czy to prawda, że Oddział mocno się uaktywnił?

— Sprowokowani ostrymi atakami prasy, powiedzieliśmy sobie: „Oddział Zamknięty po raz ostatni". Rychło naszła nas jednak refleksja, jaki zawód zrobimy tym wszystkim, którzy w nas wierzą, pisują do nas długie listy, zwierzają się ze swych kłopotów i radości. Z myślą o nich nagraliśmy w Szczecinie kolejną płytę. Oprócz znanego z anteny radiowej „Debiutu" będą tam inne premierowe tytuły: „To tylko pech", „Jingel", „Protekcji lekcja", „Pershingi", „Horror", „Pokusy", „Kameleony-żony". Płyta pod nazwą „Horror" ma wkrótce wydać Pronit. Materiał dźwiękowy drugiego longplaya odbiega znacznie od pozycji z pierwszego dysku. Oprócz tradycyjnych struktur rockowych znalazły się na nim funky, tango i blues. Nie oglądając się na premierę dysku, skompletowaliśmy już oryginalny naszym zdaniem repertuar na trzecią płytę. Chcemy ją jeszcze bardziej urozmaicić muzycznie i utrzymać w rozwichrzonym stylu Franka Zappy. Myślimy także o czwartym albumie. Będzie on typowo rock and rollowy. Z tego pobieżnego wyliczenia dokonań i zamierzeń widać, jak bardzo jesteśmy pochłonięci pracą i jak brakuje nam chwili wytchnienia.

— Dziękuję za rozmowę i życzę powodzenia w realizacji wszystkich planów.

Rozmawiał:
Istvan Grabowski

Krzyżówka nr 22 z szyfrem

Poziomo: 3. wzbogaca narody, 9. wynik nierozstrzygnięty, 10. sądecka wieś śliwkami słynąca, 11. łacińska nazwa Czech, 12. stan na północy USA, 14. Bałtyk, 16. orszak, 17. twierdzenie nie wymagające dowodu, 19. największa wyspa w archipelagu Cyklad, 22. wytwarza piwo, 24. osąd o kimś lub o czymś, 27. dawny litr, 29. umowa, 31. wódz Argonautów, 32. na nim otwór gębowy wielu zwierzątek, 34. zapał połączony z odwagą, 37. od punktu a do punktu b, 38. twórca, 39. pozbawiony umiejętności mówienia, 40. przyrządy umożliwiające widzenie w ciemności.

Pionowo: 1. colt lub nagan, 2. siedziba powiatu, w którym żyli Leszek i Mieszek, 3. razi w granacie, 4. składacz w drukarni, 5. rodak, 6. rurka melioracyjna, 7. lipcowa solenizantka, 8. pół połowy, 13. chodzą w cylindrach, 15. zimowa zawalidroga, 18. lina do ustawiania żagla, 20. dopływ Marcy, 21. odłamy religijne, 22. warzywo fioletowoczarne, 23. zaufanie lub separatum, 25. miasto pod Łodzią, 26. linia na mapie łącząca punkty o tej samej temperaturze, 28. najlepsze wyniki, 30. mniejsze od drzew, 33. najbliższy dzień, 35. państwo arabskie, 36. organ słuchu.

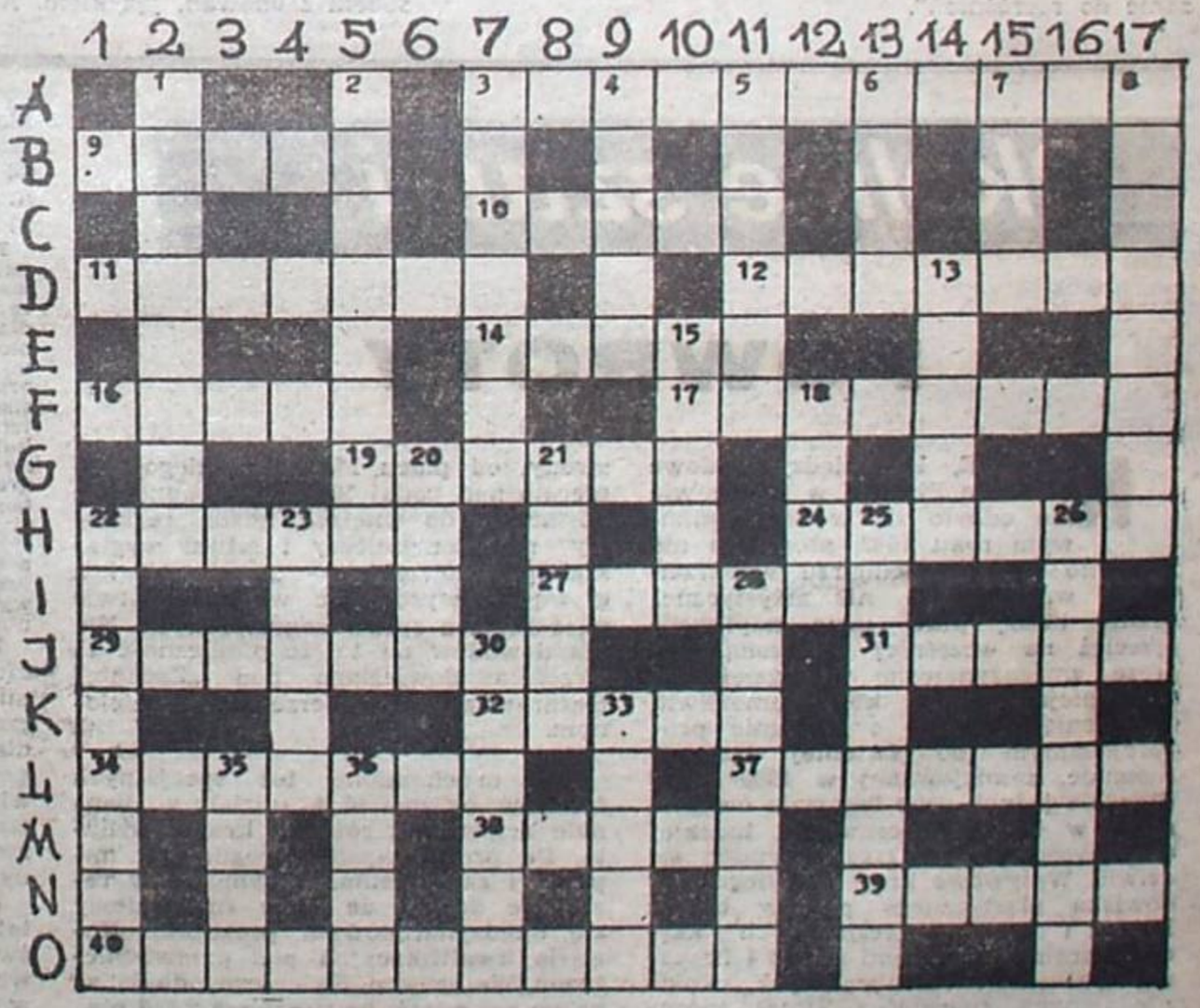

SZYFR

E9, D17, H15, O11 / A9, D7, A13, H5, O1, B2 / G5, I10, F13, C15, K1, A12, D1, G6, O8, L16, J13 / D11, H14, C7, J16, A16, C9, L3 / O6, K8, A8, D14, O16, K7, A10, E10, C8 / L12, F14 / H4, N17, B17, D12, E14, H17, N13, H16, N3 / H13, A15, K16, K12, M1, L15, D4, K9 / A14, L14, K10, J17, J6, I9, O7, F1, M5, B4

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 20 Z SZYFREM

Poziomo: Neapol, ignam, ocena, groszorób, złoto, kraje, śmietanka, treść, jura węzły, amur, Komi, barć, raja, notes, płot, flaki, przeskoki, Seine, Artur, kontrabas, cynik, żołny, wiadro.

Pionowo: początek, bemole, nagość, posiedzenie, gąbka, armatura, tron, wieża, klaps, świat, jubel, wiatr, mrowisko, ćwiartka, posąg, fiasco, antena, Pekin, żona.

Szyfr

W polityce trzeba myśleć głową i żołądkiem, a najmniej angażować w nią serce...

Wojciech Żukrowski
„Kamienne tablice"

Nagrodę otrzymuje Artur Kozłowski, ul. 1 Maja 1, 27-300 Lipsko, woj. radomskie.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mankowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz: Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14—16.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 255-38.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: 20-021 Lublin, ul. Skłodowskiej 1/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 255-33, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencje zwykłe, pocztowe kierować pod adresem 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 3097. 3.10.84 r. L-3